NUMER 7. ROCZNIK II. LIPIEC 1898.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA**.

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia 9go maja 1876 r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Rożańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties,** *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Sierpień.

1. Św. Piotra w okowach.
2. Najśw. Maryi Panny Anielskiej. — Odpust zupełny (Porcyunkuli) ***toties quoties*** **we wszystkich kościołach salezyańskich dla Salezyanów-zakonników, Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki i Pomocników salezyańskich.**
4. Św. Dominika, wyznawcy.
5. Matki Boskiej Śnieżnej.
6. Przemienienie Pańskie.
12. Św. Klary, panny.
15. Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny.
16. Św. Rocha, wyznawcy.
24. Św. Bartłomieja, Apostoła.
25. Św. Ludwika, króla francuskiego.

MODLITWA

NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy,** *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa,** *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

MISYE SALEZYAŃSKIE

w

wikaryacie apostolskim

Mendez y Gualaquiza

(rzeczpospolita Ecuador).

(*Ciąg dalszy*).

Cuenca, 15go kwietnia 1894 r.

PRZEWIELEBNY I NAJDROŻSZY OJCZE,

Z listu X. Franciszka MATTANA dowiedział się niezawodnie najukochańszy Ojciec, że w zeszłym miesiącu marcu b. r. powróciliśmy do Gualaquizy celem założenia w tej miejscowości *stacyi misyjnej*, a to osadzając tam już na stałe dwóch księży, dwóch katechetów, dwóch stolarzy, jednego ślusarza, oraz kilku czeladników, — w którym to zamiarze przywieźliśmy również ze sobą narzędzia, niezbędne do zbudowania kaplicy, jak niemniej *schroniska* dla dziatwy i młodzieży.

Po upływie kilku dni od naszego przyjazdu, kiedy prace około założenia fundamentów pod kaplicę i inne budynki w najlepsze były już rozpoczęte, otrzymałem list od X. CALCAGNO, dyrektora domu salezyańskiego w Quito, w którym polecił mi wyruszyć na objazd części kraju, położonej na południe i na wschód od Gualaquizy, celem zdjęcia (a względnie *uzupełnienia*) mapy tych stron, dotąd prawie jeszcze zupełnie nieznanych, by ją potem módz przedłożyć *kongresowi narodowemu*, mającemu się zebrać w stolicy Ecuadoru, *Quito*, w maju b. r. Co do mnie, gotów byłem udać się w podróż zaraz po otrzymaniu powyższego zlecenia; ale z powodu, iż tymczasem nadszedł *Wielki Tydzień* i zbliżała się *Wielkanoc*, więc Przełożony mój, X. MATTANA, uznał za stosowne odłożyć wyjazd aż do *Poniedziałku Wielkanocnego*, tem więcej, że Jivaros gualaquizcy w tych właśnie dniach obchodzili w zwykły barbarzyński sposób uroczystość *shanzy*, którą tym razem była głowa pewnej nieszczęśliwej dziewczyny indyjskiej, którą Jivaros z równin *Zamorry* w jednej z swoich wypraw wojennych, urządzonych w stronę rzeki *Pastazy*, uprowadzili w niewolę, a Jivaros gualaquizcy, chcąc na niej wywrzeć zemstę za rzekome krzywdy, jakie im wiele już lat temu wyrządzili byli jej krewni, zamordowali okrutnie kilka tygodni przed naszem przybyciem do Gualaquizy. Uroczystość ta, albo raczej dzika rozpusta, trwa jak wiadomo, co najmniej pięć dni, a w tym czasie żaden z Indyan z pewnością nie zechciałby mi towarzyszyć w podróży; oddalić się zaś choćby na krok od Gualaquizy, nie mając przy sobie przewodnika, znaczy w danych warunkach tosamo, co narazić się na oczywiste niebezpieczeństwo zabłąkania się w tutejszych bezludnych i nadzwyczaj gęstych lasach. A więc chcąc niechcąc musiałem zaczekać aż do *Poniedziałku Wielkanocnego*. W tym dniu wreszcie, otrzymawszy na drogę błogosławieństwo Przenajświętszym

Sakramentem, pożegnałem się z X. dyrektorem Mattana, jak również katechetą Jurado. X. Spinelli odjechał był we *Wielką Sobotę* do San José, ażeby tamtejszej, nie bardzo zresztą licznej, ludności dać sposobność dopełnienia obowiązku spowiedzi wielkanocnej.

Muszę wyznać, że wyruszałem w podróż nieco smutny, nietyle z powodu trudów i niebezpieczeństw, które mnie czekały w ciągu wycieczki, jak dlatego, że musiałem jechać sam, ani jednego ze współbraci nie mając przy sobie. Otrzymane wszakże błogosławieństwo pokrzepiło mnie na duchu. W towarzystwie więc dwóch silnych mężczyzn, którzy mi pomagali nieść nieco żywności i rzeczy najniezbędniejsze w czasie dłuższej podróży, puściłem się pieszo w kierunku południowym od Gualaquizy, z zamiarem dotarcia do miejscowości Pongo i Mendez. Pierwszą noc spędziliśmy w chacie tego Jivara, który w ciągu niniejszej wycieczki służyć nam miał za przewodnika. U niego zgromadziło się również kilku Jivaros z Mendez, którzy korzystając z danej sposobności, postanowili w naszem towarzystwie ruszyć z powrotem w swoje strony. Zdaniem mojem, w całym świecie niemasz chyba hałaśliwszych ludzi nad Jivaros; za najmniejszym powodem poczynają krzyczeć i rzucać się, jak waryaci; to też w ową pamiętną noc z powodu ciągłego wrzasku dorosłych, kwilenia dzieci i ujadania licznej psiarni, nie mogłem ani na chwilę zmrużyć oka.

Następnego dnia, choć co prawda z wielkim wysiłkiem i po długich przedstawieniach i naleganiach, udało mi się nakoniec postawić ich na nogi i skłonić do puszczenia się w podróż. Skierowaliśmy się przedewszystkiem ku rzece *Bomboiza*, gdzie już czekały na nas dwa czołna, na których puściwszy się z biegiem fal, upłynęliśmy kilka kilometrów, ale nie wszyscy naraz, bo z jednej strony było nas dość spora gromadka, a przytem byliśmy co do jednego porządnie opakowani. I tak: obaj moi *cargeros* nieśli ciężar, wynoszący przeszło 70 funtów; a ja, licząc ubrania i bieliznę, najpotrzebniejszą do zmiany, a dalej: *teodolite*, rozmaite drobnostki i podarki dla Indyan, jak również nieodstępny karabin, dźwigałem także więcej, niż 40 funtów. W podobny podróżujący sposób, nie dziw, że musiało sporo upłynąć czasu, zanim wszyscy przeprawili się aż na miejsce, gdzie zaczyna się droga, a raczej ścieżka, prowadząca w głąb kraju, jakkolwiek trzymająca się stale lewego brzegu wspomnianej rzeki. Po kilku godzinach takiej podróży pozostała przy nas już tylko jedna rodzina Jivaros; reszta, aby tem łatwiej dostać się do swych siedzib, uznała za stosowne, przeprawić się na prawy brzeg rzeki.

Co się nas tyczy, podążaliśmy dalej drogą, na którą raz byliśmy wstąpili.

1. Trudy i rozmaite przejścia w ciągu podróży. — Dlaczego *misyonarz* o nich wspomina?

Nie mam tu bynajmniej zamiaru opisywać szczegółowo kniei, przez któreśmy się przedzierali, postanowiłem sobie bowiem wysłać niezadługo na ręce Przewielebnego Ojca wszystkie notatki geo- i topograficzne, jakie dotychczas udało mi się zebrać, łącznie z mapą tych okolic, którą X. Calcagno zamyśla przedłożyć *kongresowi Ecuadorskiemu*. To pewna, że stąd daleko nam jeszcze do szerokich równin, ciągnących się wzdłuż biegu *Amazonki*; pogrążyliśmy się natomiast w głębokich kotlinach, okolonych zewsząd górami, dochodzącemi nieraz do wysokości trzech i więcej tysięcy metrów nad powierzchnią morza. Rzeka *Zamorra* stacza tutaj gwałtownie swoje fale w jednę z takich dolin, żłobiąc sobie w twardej skale, złożonej z *gnejsu* (= rodzaj skały pierwotnej) i *porfiru*, wąskie, ale zato głębokie koryto.

Ścieżka, po której posuwaliśmy się naprzód, wije się po lewym jej brzegu; jest tak wąska i tak mało uczęszczana, że gdyby nie nasz przewodnik Jivaro, nadzwyczajnie bystrym obdarzony wzrokiem (nieledwie rzekłbym: i zwierzęcym węchem), to my sami w żaden sposób nie moglibyśmy dać sobie z nią rady: miejscami zaledwie ją można było dojrzeć, — tak dalece cała porosła trawą, zielskiem, cierniem i krzami rozmaitego rodzaju. Tamtędy (napewne wnosić można) chyba bardzo rzadko przechodziła stopa ludzka, a już to nie sądzę, by kiedy postała noga jakiego Europejczyka lub Amerykanina ucywilizowanego. Często gęsto przychodzi spuszczać się w głębokie, a ciasne jary (zwane tutaj *quebradas*), a kiedy się chce z nich wydostać, przychodzi piąć się do góry po skłonie tak stromym, że trzeba pracować rękami i nogami, zanim się zdoła wdrapać do góry, pomagając sobie czembądź i chwytając za pędy krzewów, za gałęzie, to znowu za korzenie, zupełnie jak kozy. Dodajmy jeszcze do tego, że klimat jest tak gorący, że chociaż podróż odbywa się prawie zawsze w cieniu wiekowych drzew, niemniej przeto już po kilku minutach drogi pot przenika nietylko koszulę, ale i kamizelkę, a nawet ubranie wierzchnie wędrowca. Szczęściem, co kawałek drogi na-

potyka się w obfitości wodę, dzięki której można ugasić palące pragnienie, wywołane i utrudnionym sposobem podróżowania i wielce przyspieszonem parowaniem ciała. Kilka razy musieliśmy się także przeprawiać przez dość duże rzeki, a chociaż na nasze szczęście wody w nich wszystkich (ponieważ nie zaczęła się jeszcze pora deszczów), można powiedzieć, znacznie opadły, to jednak, kiedy przyszło przebywać je wpław, sięgała nam woda nieraz aż do ramion. Ale wszystkie te trudy i poty, to był dopiero początek naszej podróży; w drugiej jej połowie czekały nas daleko uciążliwsze przeprawy i większe niebezpieczeństwa!

Ale na co ja wspominam o tem wszystkiem? Czy może w celu wzbudzenia w czytelnikach litości dla siebie? Bynajmniej. Nie wyszłoby to na korzyść duszy mojej, ani przysporzyło mi zasług na żywot wieczny. Wspominam o tem wszystkiem, ponieważ w pierwszej linii piszę do *Przełożonego*, do *Ojca*, który życzy sobie wiedzieć dokładnie i szczegółowo, co porabiają jego synowie, w odległych pracujący krajach. Przedewszystkiem zaś opowiadam tu o doznanych trudach i przebytych niebezpieczeństwach, gdyż czuję, iż zaciągnąłem dług wdzięczności względem Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki. Ona-to udzieliła mi zdrowia, mogę bez przesady powiedzieć: żelaznego i sił fizycznych, potrzebnych do odbycia tak długiej i przeszkodami wszelkiego rodzaju najeżonej wycieczki; Ona w sposób prawdziwie cudowny wyrwała mię po kilkakroć z ciężkiego, kalectwem, a nawet utratą życia grożącego położenia, — czuję więc istotną potrzebę podziękowania Jej w tej formie publicznie za łaski otrzymane, i wysławienia Jej potęgi i niewyczerpanej dobroci.

Oto dwa główne powody, które mnie zniewalają do opisania wycieczki, nad wyraz niebezpiecznej, a przezemnie w myśl obowiązku, przez posłuszeństwo na mnie włożonego, podjętej.

2. W jaki sposób przepędzaliśmy dni, a jak i gdzie odpoczywaliśmy nocami? — Napotkane dziki i różne ptactwo dostarczają nam wieczerzy.

O świcie, zjadłszy śniadanie, które miało równocześnie służyć za obiad, puściliśmy się natychmiast w dalszą drogę i szliśmy tak aż do wieczora, kiedy niekiedy tylko przystając na chwilę, aby ulżyć nieco plecom, zmuszonym przy takim skwarze dźwigać tak znaczny ciężar, i złapać choć odrobinę tchu, osobliwie na szczytach wysokich pagórków, a czasami nawet gór, na które musieliśmy za każdym razem wdrapywać się z wielkim trudem i dokąd przybywaliśmy zwykle zziajani i zmęczeni na śmierć. Wieczorem pierwszą rzeczą było sklecić sobie szałas, czyli, jak go tu nazywają, *rancho*; kleci się go zaś w następujący sposób. Wbija się w ziemię kilka kołków, pochylonych ku sobie i wierzchołkiem wzajemnie stykających się, a na nich rozpościera się kilka garści szerokich liści trzcinowych, w sposób, w jaki u nas układają dachówki: — wszystko to dla ochrony przed deszczem, bardzo częstym i niespodzianym gościem w tym klimacie i tych okolicach. Posiliwszy się nieco na wieczerzę i odmówiwszy wraz z towarzyszami podróży modlitwy wieczorne, układliśmy się do snu na wiązce liści, pod głowę podłożywszy walizkę podróżną lub inny jaki twardy przedmiot, spuszczając się w zupełności na św. Anioła Stróża, że nas ochroni od drapieżnych zwierząt, od jadowitych gadzin i wszelkiego niebezpieczeństwa. W tych stronach temperatura jest mniej więcej tasama, co w Gualaquiza, to też chłodu nocnego nie czuliśmy zgoła, jakkolwiek często zdarzało się nam sypiać w ubraniu, przesiąkłem doszczętnie od potu lub od deszczu. Ztem wszystkiem zawsze zapalaliśmy w pobliżu siebie ogień, celem odstraszenia zwierząt drapieżnych, a osobliwie *niedźwiedzi*, które wcale nierzadko można tam napotkać.

W ten sposób uszliśmy pięć dni bez żadnego nadzwyczajnego wypadku, ale też nie spotkawszy żywej duszy na drodze. Pewnego razu tylko natknęliśmy się całkiem niespodzianie na znaczne stado *dzików*, które na nasze szczęście po kilku wystrzałach rozbiegły się po puszczy, nie próbując nas zaczepić. Zwyczajnie bestye te rzucają się z furyą na myśliwca, który, jeśli nie jest dobrze uzbrojony, albo jeśli nie wdrapie się czemprędzej na jakie drzewo, w mgnieniu oka bywa rozszarpanym; taki los właśnie spotkał przed kilku tygodniami pewnego nieszczęśliwego Jivara, który trafiwszy na stado, liczące mniej więcej 50 warchlaków, zginął pod ich kłami. Co się nas tyczy, to dzięki Bogu, ze spotkania tego wyszliśmy nietylko z obronną ręką, ale nawet odnieśliśmy zeń niejaką korzyść: oto pies jednego z moich Jivaros ucapił jakiegoś warchlaka zębami za kark i, choć mu groziło wielkie niebezpieczeństwo od reszty trzody i łatwo mógł być przez nią rozszarpanym, nie puścił go dopóty, dopóki, zbrojni w długie noże myśliwskie, nie pospieszyliśmy

mu na pomoc i nie uwolnili go z ciężkiego położenia, ciesząc się już z góry na pieczeń z świeżego mięsa młodego dzika, jaką tego dnia pod wieczór mieliśmy się uraczyć.

Z mego karabina udało mi się dotego ubić kilka indyków (*pavas*) i innych dużych ptaków, których mięso również dostarczyło nam wyśmienitego posiłku.

Gdyśmy nareszcie zbliżyli się do jakiejś wioski indyjskiej, wtedy przewodnik nasz uparł się naraz wrócić nazad, ponieważ, jak twierdził, mieszkał tam jeden z jego nieprzyjaciół, który z pewnością skorzystałby z tej okazyi, aby na nim pomścić krzywdy, wyrządzone mu kiedyś przez swego ojca, który mu zabił był brata. Nic nie pomogły moje przedstawienia i prośby, by się nie bał i szedł dalej z nami: odmówił stanowczo, a oddawszy nas w opiekę dwom innym Jivaros, wrócił wraz z synem do Gualaquizy.

3. W *Indanza*. — Kapitan *Sancima*. — Pragnienie chrztu. — Potrzeba założenia tam *stacyi misyjnej*.

Tymczasem zbliżyliśmy się do Indanza, wioski, zamieszkałej przez kilkanaście rodzin Jivaros, gdzie również przebywa t. z. kapitan SANCIMA. Najsilniejszy i najodważniejszy ze wszystkich, jacy mi towarzyszyli, Jivaro, uznał za stósowne wyprzedzić nas i uwiadomić *kapitana* o naszem przybyciu. Ten wyszedł zaraz na nasze spotkanie, niosąc w potężnej, wydrążonej dyni *cziczię* (= wódkę), a dalej owoce z *yuca, platanu* i t. d., a także inne jeszcze dary, aż do *ranchito* (= małego szałasu), dokąd on i jego podwładni zwykli byli udawać się, ile razy chcieli raczyć się tak zwaną *natema* (= napojem widzeń). Skorośmy tam przybyli, wystąpił naprzód, aby nas powitać.

SANCIMA jest to człowiek, liczący około czterdzieści lat, wzrostu średniego, ale krępy i żwawy, o spojrzeniu śmiałem i energicznym wyrazie twarzy. Mówi, a raczej umie się od biedy wysłowić po hiszpańsku. Pierwsze pytanie, jakie mi stawił, było, czy nie przynoszę ze sobą jakiej choroby.

Odpowiedziałem mu:

—„Moi towarzysze i ja jesteśmy wprawdzie bardzo znużeni podróżą, ale wszyscy bez wyjątku cieszymy się jak najlepszem zdrowiem; w przeciwnym razie nie moglibyśmy przecież żadną miarą odbyć tak uciążliwej podróży.“

—„To dobrze,“ odrzekł *kapitan*, „ale czego ty właściwie szukasz w tych okolicach?“

Ja mu na to, że przybyłem teraz do jego wioski, a stąd zamierzam dotrzeć aż do *Pongo* i do Mendez, celem odwiedzenia ile możności wszystkich Jivaros i nauczenia ich, jak żyć szczęśliwie na tym świecie, aby po śmierci mogli pójść do *Taity Dios*.

—„A jak się trzeba do tego wziąć?“ zagadnął.

—„Jeśli tego pragniesz,“ rzekłem, „to przyjdę tu z innymi *Ojcami*; przyniesiemy wam koszul, spodni, noży, dzid, młynków do wyrabiania cukru (*trapiches por moler*), nauczymy cię modlić się i żyć jak przystało na dobrego Jivaro, a jeśli zechcesz, to cię ochrzcimy nawet, a tak po śmierci pójdziesz na pewne do *Taity Dios*.“

Odpowiedział mi na to, że już był ochrzczony; ale że bardzo pragnie, by tu *Ojcowie* przybyli, że im pomoże zasadzić ogród, da im *yuca*, owocu *platanowego* i *cziczia* (= wódki), której ofiarował mi natychmiast porządną miskę.

Następnie zaprowadził nas do swego domu.

Dom kapitana SANCIMY jest największym w całej wiosce. Mieszka w nim przeszło 40 osób, dzielących się na 4 rodziny. On sam ma dwie żony; tak samo jego bratanek i ten i ów z jego synów. Rozumie się samo przez się, że wszyscy z największą ciekawością otoczyli mnie dokoła, i że (zwłaszcza młodsi) zbliżali się do mnie z całą poufałością i otwartością, właściwą dzikim, aby się zmierzyć i zobaczyć, o ile wzrostem niżsi są odemnie; przy czem dziwili się mocno, widząc, że najwyższy z nich był o kilka cali niższy odemnie; potem ciągli mnie za brodę, mierzyli palcami jej długość, porównywali kolor swojej skóry z kolorem moich rąk .... ot, tak jak to dzieci. Zdumienie ich nie miało granic, gdym im pokazał kieszonkowy zegarek, a w nim obie wskazówki i najrozmaitsze kółeczka, które same się obracały i t. d. Każdy chciał go przyłożyć do ucha i usłyszeć dokładnie jego uderzenia i powtarzał jeden za drugim: *Tik, tik, tik.*

Zapytali mnie między innemi, jak się ten przedmiot nazywa. Powiedziawszy im, że to jest zegarek (po hiszpańsku *reloj* *), zapytałem ich nawzajem, jakieby oni w własnem narzeczu dali mu miano. Zastanowiwszy się chwilkę, rzekli: *hánandei* t. j. serce. W samej rzeczy, niektórzy pytali mnie na seryo, czy ten zegarek doprawdy ma własne życie, czy ma serce i t. d.

Wszystkie te wypytywania wszakże były tylko wstępem i miały mnie naprowadzić na

*) Czyta się *reloch*.

coś, co im od samego początku ciągle stało w myśli, t. j. na podarunki, od których oczywiście żadną miarą nie zdołałbym się wykręcić. Rozdzielanie darów zacząłem od samegoż Imci *kapitana*, któremu wręczyłem śliczny nóż; inni otrzymali igły, nici, krzesiwa, zwierciadełka i t. p., — słowem, wszystkich bez wyjątku obdarzyłem jakąś drobnostką. Aż do tego bowiem zakątka dotarła była wieść, że chrześcijanie w Gualaquiza są bardzo dobrzy i że hojnie obdarzają wszystkich Jivaros podarunkami, a ponieważ ja nie miałem ich zbyt wiele przy sobie, byli z tego powodu nieco markotni i zaczęli się krzywić, postarałem się ich jednak zaraz udobruchać zapewnieniem, że wkrótce powrócimy do nich zaopatrzeni należycie w piękniejsze jeszcze od teraźniejszych dary.

Ująwszy sobie Indyan w powyższy sposób, zacząłem dzieci uczyć znaku krzyża św., co widząc dorośli, natychmiast rzucili się je naśladować, a tak w krótkim czasie wszyscy Jivaros tej osady umieli się przeżegnać. Na widok krucyfiksu osłupieli i zaczęli się mnie dopytywać, co to oznacza i kogo wyobraża. W sposób możliwie najprzystępniejszy starałem się im wyjaśnić, że pierwsi ludzie, których Pan Bóg stworzył, okazali się złymi i niewdzięcznymi i że z ich winy my wszyscy mieliśmy po śmierci wraz z *iguanchi* (złym duchem), pójść w płomienie, by tam wiecznie gorzeć; ale że *Taita Dios*, o którym oni mają niejakie, choć bardzo ogólnikowe i niejasne pojęcie, zesłał z nieba na ziemię swego Syna jedynego, ażeby za nas na krzyżu umarł i śmiercią krzyżową niebo nam otworzył. Wywody moje zakończyłem upewniając ich, że jeżeli chcą, to i oni będą mogli pójść do *Taity Dios* używać szczęścia na wieki. Oczywiście wszyscy odrzekli, że bardzo pragną dostać się do Pana Boga do nieba i żądali, bym natychmiast ochrzcił tych, którzy tego św. Sakramentu jeszcze nie byli przyjęli. Odpowiedziałem, że wkrótce znowu do nich przybędziemy, by ich wszystkich ochrzcić. Tuszę, że to ich pragnienie otrzymania Sakramentu Chrztu św. nie jest błahą zachcianką, lecz silną wewnętrzną pobudką, istnym głosem Bożym.

W domu kapitana Sancimy, zatrzymaliśmy się przez jeden dzień i dwie noce, aby odpocząć nieco po trudach podróży. Następnie udaliśmy się w odwiedziny do innych domów, rozrzuconych w okolicy; prawie wszędzie znaleźliśmy tesame zwyczaje, wszyscy przyjmowali nas bardzo przychylnie i okazywali szczerą ochotę poznania prawd naszej św. Wiary. Kiedy jednakże zabierzemy się do reformowania (a nieraz zapewne także *tępienia*) barbarzyńskich ich zwyczajów, trzeba będzie brać się do dzieła w sposób do tego najodpowiedniejszy i najpewniej prowadzący do celu: także tu nieodzowną rzeczą jest założyć co rychlej *dom misyjny*, celem zaopiekowania się dorastającą młodzieżą.

Dom misyjny salezyański w tych stronach nader byłby dla nas dogodnym, ponieważ, według zapewnień samychże Jivaros, niedaleko stąd rzeka *Santiago* zaczyna być spławną; a więc mielibyśmy bardzo łatwą komunikacyą z rzeką *Marañon*, a przez nią z *Oceanem Atlantyckim*. Prócz tego dom, tutaj założony, mógłby służyć za *stacyę* (czyli *przystanek* misyjny) na wypadek podróży misyonarzy naszych do Mendez, odległego od Indanza zaledwie kilka kilometrów. Ale natem nie koniec: kilku obywateli z Gualaceo, położonego o dzień drogi od Cuenca, noszą się na seryo z myślą zawiązania spółki, celem utorowania *gościńca* (= bitej drogi), któryby prowadził prosto do Indanza, zamierzają tam bowiem założyć kilka *faktoryi*. W ten sposób powstałaby niezadługo wcale pokaźna osada w rodzaju Gualaquizy. Jeśli ten projekt będzie przyprowadzony do skutku, to nasi misyonarze, nawet z Cuenca, będą mogli bardzo dobrze odbywać podróż *Marañonem*, a tak zaoszczędzić sobie wiele czasu i pieniędzy. Wtenczas zadanie, nad którem nasz nieodżałowany ś.p. X. Angelo Savio tyle sobie był nałamał głowy, byłoby rozwiązanem. Mam mocną nadzieję, że rozwiązanie to nastąpi niezadługo, zwłaszcza jeśli najukochańszy Ojciec nadeśle nam rychło zasiłek w personalu i w pieniądzach, bez czego do pracy nad nawracaniem i cywilizowaniem Jivaros'ów niewarto nawet przystępować.

4. Przewodnicy wymawiają się od towarzyszenia nam w dalszej wycieczce, wskutek czego wypada zmienić jej kierunek. — Barbarzyńska „cywilizacya." — Jakie niebezpieczeństwa przychodzi nieraz zwalczać!

Zwiedziwszy po kolei wszystkie *tambos* (= chaty) Jivaros'ów w Indanza, zamierzyłem teraz skierować się ku rzece *Pongo*; ale zaszły niepokonane trudności, które zmusiły mię odstąpić od pierwotnego zamysłu. Jedną z przeszkód było to, że nastąpiła właśnie pora deszczów.

Rozległe leśne puszcze (*selvas*) tej części kraju więcej od wszystkich innych obfitują

w rzeki; ze wschodnich stoków *Kordylierów*, jak zresztą ze wszystkich górskich łańcuchów Ecuadoru i Brazylii, stacza się w doliny niezliczona ilość mniejszych i większych strumieni i rzeczek; te nieco dalej zlewają się razem i tworzą rzeki, odznaczające się niesłychaną obfitością wód, które w tutejszych, lubo przeciętnie w wysokości 1,000 metrów nad powierzchnią morza położonych stronach, zachowują jeszcze pęd bardzo gwałtowny. W porze posuchy można przez rzeki te przeprawić się dość bezpiecznie, ale z nastaniem deszczów stają się one wprost nie do przebycia; a jeśliby kto (jak teraz np. o mało co nie stało się z nami) pozwolił się w tym czasie zaskoczyć przez dwie takie rzeki, ten niezawodnie byłby skazanym na przepędzenie kilku miesięcy w widłach rzecznych, odcięty kompletnie od siedzib ludzkich, nie mogąc w żadnym kierunku przedrzeć się przez lesistą puszczę, narażony ustawicznie na śmierć głodową.

To była jedna przeszkoda.

Druga, nie mniej od pierwszej ważna, zaszła ze strony samychże Jivaros. Żaden Jivaro, nieco bliżej obeznany z okolicą wzdłuż rzeki *Pongo*, nie chciał mi tam służyć za przewodnika; przyczyną tego był strach, jaki u wszystkich wzbudzają Indyanie z nad *Patacuma*, słynący daleko i szeroko z dzikości i okrucieństwa, od kilku zwłaszcza lat stanowiący postrach osad jivaroskich wzdłuż *Santiago*. Trzeba jednak przyznać, że główną przyczyną rzezi, jakie tam zachodziły, byli biali, t. j. ludzie, którzy podają się za „ucywilizowanych“ i pionierów cywilizacyi w tych okolicach! W Ichitos, Boria i w innych osadach, położonych w pobliżu górnego biegu rzeki *Marañon*, osiedliło się wielu kupców z Perù, Brazylii, a nawet Europy, zajmujących się głównie wydobywaniem *kauczuku*, ale posiadających tam również rozległe *faktorye* z plantacyami *kawy*, *kakao* i t. p. Nie mogąc tak łatwo dostać robotników, niezbędnych do wykonywania odpowiednich robót i zajęć, zaczęli przebiegać okolice rzek *Napo*, *Pastazy* i innych, urządzając wszędzie obławy na Indyan, mordując, łowiąc i wiążąc po zbójecku tych biedaków, których potem przypędzali do swych *faktoryi* i gwałtem zmuszali do pracy.

Dopóki chodziło o Indyan Andoas, Zaparos i Canelos, mogli tego dopuszczać się bezkarnie i bez obawy o własną skórę, ale z Jivaros'ami nie tak łatwa była sprawa. Ci znakomicie potrafili się przed nimi obronić. Ale na co się nie zdobędzie i czego nie dokaże chytrość ludzka, a raczej dyabelska, jeśli się uweźmie na czyją zgubę! Oto udając przyjaciół Indyan *Patacuma*, najdzikszych ze wszystkich plemion jivaroskich, obdarzyli ich karabinami, systemu *Remingtona*, i innemi strzelbami najświeższej konstrukcyi, pod warunkiem, by im dostarczyli niewolników. Okrutni ci dzicy, łakomi, jak wiadomo, na broń palną, zaczęli wraz przebiegać we wszystkich kierunkach okolice, zamieszkałe przez współplemieńców Jivaros'ów, paląc osady, mordując takich, co stawiali opór i uprowadzając jeńców (między tymi kobiety i dzieci) do nieludzkich handlarzy, którzy mimo to wszystko śmią jeszcze mienić się filantropami i przyjaciółmi postępu.

Nie dziw więc, że Jivaros, do których zwróciłem się z prośbą, by mi zechcieli przewodniczyć do *Pongo*, odrzekli jednozgodnie, że za nic w świecie tam nie pójdą, choćbym im nie wiedzieć co za to dawał w nagrodę, ponieważ (mówili) jesteśmy pewni, że za ladajaką strzelbę, za szkatułkę prochu, lub naboje do *remingtonów*, będziemy zabici lub zaprzedani białym w niewolę.

Opowiadania te dały mi jeszcze dokładniejsze pojęcie o niezbędnej potrzebie założenia *domu misyjnego* także w tamtych stronach, które przecież również należą do *Wikaryatu apostolskiego*, naszej powierzonego opiece, aby już raz położyć tamę szerzącej się niegodziwości. O! najukochańszy Ojcze, przyślij nam co rychlej znaczniejszy personal wraz z odpowiednim zapasem środków materyalnych, ażebyśmy mogli osiąść już na stałe w Gualaquizie, założyć dom w Indanza, a stamtąd przerzucić się ku *Pongo*, obrać miejsce i obmyślić sposób najskuteczniejszy, jak wystąpić do walki i pokonać szatana także w tej jego siedzibie, dotąd niezdobytej!

Widząc, że tyle trudności staje na przeszkodzie wykonaniu powziętego zamiaru, uznałem za rzecz roztropną i wskazaną zrzec się na czas jakiś myśli skierowania wycieczki w stronę ku *Pongo*, odkładając ją aż do następnego lata, do którego to czasu niezawodnie zdołam się zaopatrzyć w więcej środków materyalnych, aniżeli tym razem. Postanowiłem więc cofnąć się ku górom, przedzierając się przez lasy ścieżką, jaką utorował pewien obywatel z Gualaceo, który przed kilku miesiącami zapuścił się był w te strony w celu wyszukania miejsca na założenie *faktoryi*. Ale, pożal się Boże, co to była za droga! Jeżeli dotychczasowa była niegodziwą nad wyraz i dała się nam odpowiednio we znaki, to teraźniejsza była zgoła nie do przebycia; sami nawet Jivaros twierdzili, że ani niedźwiedzie nie przedarłyby się tamtędy w porze deszczów.

To też po długim namyśle trzech tylko z nich zdecydowało się towarzyszyć mi jeszcze przez półtora dnia, każdy uzbrojony w potężną siekierę, by utorować drogę wśród krzewów i chwastów, jakie ją zagradzały; widząc jednakże, że jest niepodobieństwem posuwać się po tej „ścieżce“ dalej, ostatecznie i oni zaczęli mi radzić, bym powrócił nazad. Ale moi dwaj towarzysze z Gualaquizy nie chcieli ani słuchać o tem, by po raz wtóry mieli odbywać drogę tak przykrą: uparli się, by iść naprzód, łudząc się wciąż nadzieją, że może niezadługo ścieżka stanie się nieco znośniejszą. Ale haniebny nas spotkał zawód! Z każdym dniem „droga“ stawała się gorszą: trzeba się było przedzierać przez gąszcz, utworzoną z drzew, krzewów i gałęzi, poplątanych pomiędzy sobą; trzeba było nieraz piąć się do góry, czepiając się korzeni, krzaczków i chwastu; nierzadko musieliśmy kręcić jakoby sznury z roślin pnących, gęstym zwojem opasujących grubszy trzon jakiego drzewa i po nich dopiero wciągać się jeden za drugim do góry, mając się przy tem dobrze na baczności, by się nie stoczyć w przepaść i kości sobie nie połamać.

W takich znajdując się opałach, uciekałem się zawsze gorąco pod opiekę Matki Najświętszej Wspomożycielki i świętych naszych Patronów. A ci nasi niebiescy Opiekunowie z największą pewnością po niezliczone razy dopomogli nam i z grożącego niebezpieczeństwa wyprowadzili. Nieraz przeprawy były tak ciężkie, niebezpieczeństwo postradania życia tak jawne, że po ludzku sądząc, powinnibyśmy (jak to pospolicie się mówi) kark skręcić, a tymczasem wszystko kończyło się na spadnięciu całkiem nieszkodliwem, na podrapaniu sobie twarzy, rąk i nóg, stłuczeniu kolan i nabiciu guzów i sińców tu i owdzie po ciele, bez poważniejszego wszakże poniesienia szkody na zdrowiu.

Nierzadko, wdrapawszy się po niewysłowionych trudach na szczyt jednej z licznych odnóg górskich, jakie ustawicznie zagradzały nam drogę, przychodziło z większym jeszcze wysiłkiem spuszczać się na dół, następnie przebywać wpław rzekę, oddzielającą jeden łańcuch górski od drugiego i zazwyczaj bardzo szeroko rozlaną; w dodatku, przez całą prawie drogę towarzyszył nam ulewny deszcz, wskutek czego, przynajmniej w ciągu ostatnich nocy, zimno dawało się nam uczuć bardzo dotkliwe. A tymczasem utrapiona, jakby naumyślnie przez same zapadłe kąty, poprzez strome pagórki i góry, nad brzegiem przepaści, prowadząca ścieżka nie myślała się kończyć i już nie żartem obawiałem się, że nam wśród puszczy zabraknie całkiem żywności. Ale, dzięki Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce, ani przez pół dnia nie potrzebowaliśmy narzekać na jej niedostatek: ostatni kawałek mięsa, kupiony u pewnego Jivara w Indanza, spożyliśmy na szczycie ostatniego łańcucha *Kordylierów* o godzinie 3ej po południu, a o 9ej tegosamego dnia stanęliśmy w Gualaceo, gdzie poczciwy tamtejszy X. Proboszcz wszelkich dołożył starań, by nas do sił przyprowadzić. Wieczorem zaś dnia następnego, dzięki pomocy, udzielonej mi przez tegożsamego X. Proboszcza, znalazłem się w kolegium naszem w Cuenca, wśród miłych współbraci, którzy widząc mnie nanowo w swem gronie, poprostu wprowadzają mnie w kłopot i zawstydzają dowodami prawdziwie braterskich swoich starań i pieczołowitości, jakiej mi nie szczędzą. O jak słodko i miło po długiej i uciążliwej podróży znaleść się znowu w kole przyjaznych osób, wśród drogich współbraci zakonnych, którzy nas i szczerze miłują i serdeczną otaczają opieką!

Ale spostrzegam się, że mimo najlepszych moich chęci, rozpisałem się nad miarę. Bądź co bądź, zanim skończę, pozwolę sobie poprosić jeszcze raz najukochańszego Ojca i wszystkich głównych Przełożonych z Turynu, aby co rychlej raczyli pomnożyć szczupły nasz personal i wesprzeć nas zasiłkiem pieniężnym. O! gdyby najdroższy Ojciec wiedział, ilu i jak gwałtownemi potrzebami jesteśmy tutaj przyciśnięci! Przedewszystkiem jednakże potrzebujemy pomocy we formie modlitwy. Niech najukochańszy Ojciec, wszyscy nasi współbracia i wychowankowie Oratoryum nie zaniechają nigdy polecać nas gorąco w modlitwach swoich, kiedy u stóp Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki klęczą przed Jej cudownym obrazem i niech nie zapominają o naszej misyi w puszczach ecuadorskich, o naszych Indyanach i wogóle o nas wszystkich, a między nimi o tym, co ma niniejszem to szczęście pisać się

Najprzewielebniejszego Ojca

najprzywiązańszym synem

Jacek Pancheri.



Z PREFEKTURY APOSTOLSKIEJ Południowej Patagonii.

Misya ta południowej **Patagonii** *obejmuje* **Ziemię ognistą,** *wyspy* **Malwińskie** *i cały olbrzymi labirynt wysp, rozrzuconych po obu stronach słynnej Magellańskiej cieśniny i dochodzących aż do południowego c h i l i j s k i e g o wybrzeża. Nagie i strome skały, których szczyty wznoszą się niekiedy na 1,200 metrów ponad poziomem morza, przypominają nieco zachodnie wybrzeża* **Norwegii.** *Morze wśród tego skalnego labiryntu bywa częstokroć burzliwe, tak że żegluga nie mało przedstawia niebezpieczeństw.*

Im bardziej się zbliżamy do oceanu S p o k o j n e g o, tem morze coraz bardziej staje się wzburzone, srebrzyste fale oblewają czarne odłamy skał, na niebie płyną ciemne, szare chmury, gwałtowny



zaś wicher utrudnia, a nawet uniemożliwia żeglugę.

Z wyjątkiem nielicznych białych kolonistów, których główną rezydencyą jest miasteczko **Punta Arenas** *na półwyspie B r u n ś w i c k i m, ludność składa się przeważnie z mieszkańców* **Ziemi ognistej,** *patagońskiego plemienia* **Onas'ów.** *Ogólna cyfra mieszkańców południowej* **Patagonii** *wynosi zaledwie 15,000 osób. W* **Punta Arenas** *mieszka Prefekt apostolski,* **X. Józef Fagnano,** *cała zaś ta kraina została powierzona duchownej pieczy Salezyanów.*



W r. 1891 założono tam na wyspie **Dawson** *stacyę misyjną* **św. Rafała**, *teraz zaś na wschodniem wybrzeżu* **Ziemi ognistej,** *pomiędzy przylądkami P e ñ a s i S u n d a y, powstało w* **Candelara** *nowe misyjne ognisko pod wezwaniem Najświętszej Panny Gromnicznej. Miejsce na tę stacyę misyjną wybrał sam X. Prefekt apostolski na początku 1893 r. i niezwłocznie też zabrano się do niezbędnych przygotowań w celu wykonania powyższego zamiaru.*

Atoli przedsięwzięcie to napotkało na swej drodze tyle niespodzianych przeszkód i trudności, że w przeciągu owego całego roku nie zdołano doprowadzić go do skutku. Posłuchajmy jednak, jak nam o tem opowiada Przełożony nowej stacyi misyjnej, **X. Józef Beauvoir.**

I.

Z nad *Rio Grande,* 14go grudnia 1893 r.

PRZEWIELEBNY I NAJDROŻSZY OJCZE,

NIECH będą stokrotne dzięki Panu Bogu i Najświętszej Maryi Pannie, W s p o m o ż y c i e l c e W i e r n y c h, potężnej naszej Opiekunce i Orędowniczce! Oto nareszcie po siedmiu długich miesiącach, które dla nas były stokroć okropniejsze, niż dla żydów czterdziestoletnie błąkanie się na puszczy, dotarliśmy do miejsca, wyznaczonego nam przez drogiego naszego X. Prefekta apostolskiego, X. Józefa FAGNANO, jako pole pracy, na którem mieliśmy założyć nową misyę salezyańską pod nazwą *Nuestra Señora de la Candelara* (= Matki Boskiej Gromnicznej).

★

Gdybym chciał opisywać szczegółowo długi szereg rozmaitych przeszkód i przykrości, jakie nas tam oczekiwały, to mógłbym tem zapełnić całe grube tomy, postaram się jednak być o ile możności zwięzłym i treściwym w opowiadaniu.

Dnia 9go czerwca 1893 r., w uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa, odbyło się naładowanie okrętu „*Amedeo*“ rozmaitymi przedmiotami i zapasami, niezbędnymi do założenia nowej misyi. Między innemi znajdowało się tam także 6 koni i kilkoro innych domowych zwierząt, które na nowym posterunku koniecznie były nam potrzebne. Wsiadłszy na okręt z X. Bernabè i trzema innymi braćmi, oraz czterema rzemieślnikami, odpłynąłem w kierunku przylądka Peña, wiedząc dobrze, iż przez całą drogę będą nam towarzyszyły modły wszystkich kapłanów i dzieci z Punta Arenas.

Dzięki pomyślnemu wiatrowi dotarliśmy po upływie dni kilku do ujścia rzeki *Rio Grande*. Tam wraz z X. Bernabè wsiadłem do łodzi, aby się przekonać, czy okręt nasz mógłby dotrzeć przez ujście rzeki i kanał aż do przystani *Golondrina*. Wkrótce jednak tak gwałtowna zerwała się burza, że spienione fale lada chwilę mogły pochłonąć nas w odmęcie, musieliśmy więc wrócić na okręt, straciwszy napróżno spory kawał czasu.

Łatwo zrozumieć, jak bolesne było dla nas to rozczarowanie. Najbardziej martwiło nas to, że pomimo tylu kosztów, na ten cel wyłożonych, nie zdołaliśmy dotrzeć do upragnionego celu. Podążyliśmy zatem do *Bahia San Sebastiano* i zatrzymaliśmy się nad rzeką *Gamą*, gdzieśmy postanowili zaczekać na inny okręt, gdyż nasz „*Amedeo*“ okazał się za wielkim i za ciężkim do takiej żeglugi. Niezwłocznie też X. Bernabè odpłynął na nim z powrotem do Punta Arenas, aby zawiadomić X. Prefekta apostolskiego o wszystkiem, co zaszło i przyspieszyć wysłanie nam pomocy.

Tymczasem musieliśmy pomyśleć o jakiemkolwiek dla siebie schronieniu; na niewielkiem więc piaszczystem wzgórzu zbudowaliśmy dwie chaty, jedną dla siebie, drugą zaś dla naszych zwierząt. W pierwszej z nich znajdowała się również malutka izdebka, która służyła nam za kaplicę. Atoli nędzny ten szałas nie mógł zabezpieczyć od deszczu, śniegu lub kurzu, który gwałtowny wicher pędził ciągle w kierunku naszej chaty. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i w przeciągu czterech miesięcy żyć tylko nadzieją. Rachowaliśmy dni i tygodnie od wyjazdu X. Bernabè, ciesząc się myślą, że zdołał dotrzeć szczęśliwie do Punta Arenas, rozmówić się z X. Fagnano i wysłać odpowiedni dla nas okręt.

Za pośrednictwem górników, którzy podążając do Punta Arenas przechodzili przez improwizowany nasz obóz, wysłałem kilka listów do X. Prefekta apostolskiego, ale niestety, nie otrzymałem odpowiedzi. Żaden też statek nie myślał zawinąć do naszej przystani. Tymczasem z dniem każdym uszczuplały się zapasy żywności, tak dalece, żeśmy musieli zabić kilkoro naszych zwierząt. Nie mając ze sobą psów do polowania na *guanaki*, mogliśmy tylko polować na ptactwo morskie, które niekiedy licznemi gromadami zlatywało na wybrzeże. Wreszcie postanowiłem udać się sam drogą lądową do Punta Arenas. Było to przy końcu września. Wynająłem sobie konie, które mię dowiozły do kolonii pp. Montes i Wales w Punta Anegada, nad *cieśniną Magellańską*, stamtąd zaś, po upływie dni czterech, dotarłem do Punta Arenas.

Niestety, po przybyciu do tego miasta dowiedziałem się ze smutkiem, że żaden okręt nie odważy się w tej porze roku wypłynąć na pełne morze. Z tego właśnie powodu X. Bernabè nie mógł pospieszyć nam z pomocą. Wszyscy mieszkańcy Punta Arenas odradzali mi puszczenie się na nową wędrówkę, wiedząc jednak dobrze, w jak okropnem położeniu znajdowali się nasi współbracia i czterej rzemieślnicy, postanowiłem niezwłocznie do nich wyruszyć. W tym celu wziąłem malutki nasz okręcik „*Maria Ausiliatrice*,“ oprócz niego zaś wynająłem drugi niewielki statek „*King-Fisher*“ i naładowawszy je zapasami żywności, sprzętami a nawet kilkoma końmi, puściłem się w drogę, polecając się gorąco modłom ukochanych swych towarzyszy i ich wychowanków. Było to dnia 27go października.

Pomimo niepogody i gwałtownego wichru, który nam ciągle dawał się we znaki, udało się szczęśliwie obu wątłym naszym statkom uniknąć wielu skał podwodnych i niezliczonych niebezpieczeństw, oraz dopłynąć szczęśliwie do *Bahia San Sebastiano*, gdzie nas oczekiwano jak wybawców. Stamtąd zabraliśmy naszych współbraci i rzemieślników, tudzież wszystkie przedmioty, które na okręcikach naszych pomieścić się zdołały. Niezwłocznie też odpłynęliśmy do *Rio Grande*, chcieliśmy bowiem za jakąbądź cenę wywiązać się należycie z powierzonego sobie zadania.

I tym razem żegludze na *Rio Grande* towarzyszyło mnóstwo przeszkód i trudności, wkońcu jednak, dzięki widocznej opiece Pana Boga i Najśw. Maryi Panny, zdołaliśmy zarzu-

cić kotwicę w przystani *Golondrina*. Było to dnia 11go listopada w uroczystość św. Marcina a zarazem w wigilię święta Opieki Matki Boskiej.

Nazajutrz, jako w niedzielę i uroczystość Najśw. Panny, postanowiliśmy odpocząć przez dzień cały i wówczas też po raz pierwszy odprawiłem Mszę świętą na wybrzeżu, mającem stać się odtąd głównem ogniskiem drugiej naszej misyi.

W poniedziałek kazałem podnieść kotwicę, niebawem zaś oba nasze statki dotarły z łatwością do tak zwanej *czarnej skały*, leżącej o trzy mile dalej. Tam znalazłem miejsce nader odpowiednie do zarzucenia kotwicy, poczem przewieźliśmy na ląd wszystkie zapasy, jakieśmy zabrali ze sobą.

Niezwłocznie po przybyciu poleciłem rzemieślnikom zbudować jak najprędzej chatę, mającą 10 metrów długości, 4 $^1/_2$ metra szerokości, 3 $^1/_2$ metra wysokości. Dom ten ma dwa piętra, z których pierwsze służy za sypialnię, spiżarnię i jadalnię, drugie zaś za kaplicę. Leży on w prześlicznem położeniu o 50 kroków od przystani „*Maria Ausiliatrice*,“ nazwanej tak na pamiątkę naszego okrętu, który tam pierwszy zarzucił kotwicę. O 50 metrów stamtąd, na północ-zachód, kazałem też zbudować dla naszych zwierząt domowych wygodną oborę, przed którą się roztacza obszerny dziedziniec, otoczony parkanem.

Wkrótce potem wysłałem okręt „*King-Fisher*“ do wyspy Dawson, statek zaś „*Maria Ausiliatrice*“ do *Bahia San Sebastiano* w celu zburzenia prowizorycznych chałup i zabrania wszystkich pozostawionych tam przez nas sprzętów i narzędzi. Wszystko to mogło wybornie zostać załatwione w przeciągu jednego tygodnia, ale niestety, z powodu ciągłych burz, biedny nasz okręcik musiał w przeciągu całego miesiąca pozostać w *Bahia San Sebastiano* i dopiero dnia 22go grudnia zawinął po raz drugi do przystani *Golondrina*.

Ileż dobrego moglibyśmy zdziałać w nowej naszej misyi, gdyby rozmaite okoliczności nie stanęły temu na przeszkodzie! — Wszędzie dokoła otaczają nas Indyanie, każdego zaś wieczora w rozmaitych kierunkach można dostrzedz płonące ogniska. W niewielkiej odległości od misyi znajduje się kilkanaście chałup, ale niestety, dawni ich mieszkańcy natychmiast po naszem przybyciu opuścili swe siedliska. Będziemy więc musieli odszukać naszych zbiegów. Oby Chrystus nam dopomógł pozyskać dla Niego jak najrychlej dusze biednych tych dzikich!

A teraz pobłogosław, przewielebny i najdroższy Ojcze, nas wszystkich synów swoich, a zwłaszcza tego,

który w Sercu Najsłodszem Jezusa i Maryi pisze się najprzywiązańszym

X. Józef M. Beauvoir.

II.

Z nad brzegów *Rio Grande*, 30go maja 1893 r.

Za szczególną łaskę Najświętszej Panny poczytuję to, że mi pozwoliła przybyć do tej misyi i odprawić pierwszą Mszę świętą na Ziemi ognistej w sobotę, to jest w dniu, Jej czci poświęconym.

Przybycie moje ucieszyło niezmiernie koadjutorów Bergese, Ferrando i Ronchi, jak również wszystkie dzieci i całą ludność tej okolicy. W parę dni później przybył i X. Józef Beauvoir, po krótkim zaś odpoczynku zabraliśmy się do urządzenia nowej naszej misyi nad *Rio Grande*. Praca szła raźnie w jak najlepszej harmonii i zgodzie, tem bardziej, iż wszyscy Bogu dzięki wybornem cieszyliśmy się zdrowiem.

W niedzielę i święta po nabożeństwie, oraz wykonaniu wszystkich pobożnych praktyk naszej reguły, robiliśmy konno lub pieszo wycieczki do sąsiednich okolic.

Mieszkamy nad samym niemal brzegiem rzeki *Rio Grande*, o pół godziny drogi od jej ujścia. Z powodu niewielkiej odległości od morza, przypływ i odpływ wybornie dostrzedz się daje, tak, że z okien mojej celi mogę napawać się codziennie widokiem tego zjawiska. Ponieważ zaś rzeka *Rio Grande* jest spławną na znacznej przestrzeni, ułatwia więc nam to bardzo komunikacyę z resztą kraju.

W naszej okolicy daje się najbardziej uczuwać brak drzewa, lecz jako materyał opałowy daje się ono zastąpić torfem, którego tu rozległe znaleźliśmy obszary. Zresztą mamy także wysoką trawiastą roślinę, zwaną przez krajowców *mata nigra*, czyli *czarnem drzewem*, które nam służy za wyborny opał.

Gdy po całomiesięcznym pobycie na Ziemi ognistej nie zobaczyliśmy jeszcze ani jednego krajowca, postanowiliśmy ich szukać. Ponieważ było to przed samemi Wielkanocnemi świętami, przeto należało wpierw ukończyć budowę kaplicy, aby podczas pięknej tej uroczystości odprawić Mszę świętą w nowym domku Bożym. Pracowaliśmy więc bez wytchnienia, ale dopiero w połowie Wielkiego tygodnia zdołaliśmy ukończyć naszą świąty-

nię. Za wszystkie te trudy miłosierny Stwórca przygotował dla nas nagrodę stokroć piękniejszą, niż mogliśmy się spodziewać.

Rano w Wielki Czwartek spostrzegliśmy gromadkę Indyan, stojących na przeciwległym brzegu rzeki. Atoli z powodu przypływu morza, ani my do nich, ani oni do nas dyanie wsiedli do szalupy, reszta zaś rzuciła się wpław i niebawem powitaliśmy ich wszystkich na progu misyjnego domu. Gromadka naszych gości składała się z dwunastu ludzi; kilku z nich miało na sobie okrycia z czarnej jakiejś tkaniny, inni zaś chodzili nago. Pomiędzy pierwszymi znajdował się



Salezyański statek „*Maria Ausiliatrice.*" — Dom misyjny Matki Boskiej Gromnicznej (*de la Candelara*). **— Tymczasowa stacya misyjna w** *Bahia San Sebastiano.*

dotrzećby nie mogli. Musieliśmy więc czekać na odpływ morza, tymczasem zaś krajowcy podnosili w górę ręce na znak, że jak najrychlej pragną nas powitać, my zaś wywiesiliśmy chorągiew misyjną na cześć naszych gości. Wreszcie około godziny 2 popołudniu nastąpił odpływ morza i Ferrando z dwoma chłopcami spuścił szalupę na wodę, po upływie zaś pół godziny przybił do przeciwległego brzegu. Wówczas niektórzy In- niejaki Copelo, który jak mówił, służył przez lat parę w wojsku argentyńskiej rzeczypospolitej. Domyśleliśmy się jednak, że był on chytrym zdrajcą, któremu nie należało ufać tak, jak innym niezepsutym jeszcze krajowcom. Rzeczywiście dowiedzieliśmy się niebawem, że człowiek ten w sposób podstępny i zdradziecki zamordował kilku białych. Cały strój pozostałych Indyan stanowiła skóra *guanaka*, zarzucona na biodra lub ramiona.

Celem ich przybycia było zapytać nas, czy pozwolimy przybyć do misyi paru plemionom i n d y j s k i m, które opuściwszy rodzinną swą miejscowość Bahia T e t i s, podążały ku nam i znajdowały się już w niewielkiej odległości w pobliżu przylądka *Peña*. Naturalnie X. Józef Beauvoir, jako przełożony misyi, oświadczył, że z radością zobaczy ich u siebie. Ponieważ zaś nasi goście bardzo byli głodni, poczęstowaliśmy ich naszymi zapasami żywności, wkrótce zaś potem zadowoleni I n d y a n i e wyruszyli z powrotem na brzeg przeciwległy.

W Wielki Piątek o godzinie 10^{ej} rano ujrzeliśmy na drugiej stronie rzeki mnóstwo I n d y a n, zstępujących z gór w tak wzorowym porządku, jaki się zdarza widzieć tylko w regularnem wojsku. Na czele kroczyli krajowcy, którzy już w dniu poprzedzającym złożyli nam wizytę. Towarzyszyło im mnóstwo mężczyzn olbrzymiego wzrostu, w środku zaś tej kolumny znajdowały się kobiety i dzieci.

Pragnąc jak najrychlej przybyć do nas, I n d y a n i e nie czekali nawet tym razem odpływu morza, ale rzucili się wpław, najsilniejsi zaś z nich płynęli, trzymając na ramionach najmłodsze swe dzieci. Pod względem zręczności w pływaniu, kobiety mogły walczyć z mężczyznami o palmę pierwszeństwa, będąc jednak obarczone mnóstwem rzeczy, stosunkowo najpóźniej przybyły do misyi. Wreszcie około 2^{ej} popołudniu wszyscy krajowcy wylądowali na wybrzeżu i ujrzeliśmy się nagle otoczeni gronem I n d y a n, złożonem ze 150 osób. Po krótkiej rozmowie z Copelem i kilkoma innymi I n d y a n a m i, odgrywającymi rolę wodzów, w której za tłumacza służył nam mały nasz wychowanek, P e d r o, wskazaliśmy krajowcom miejsce, leżące o paręset metrów od misyi w kierunku południowo-wschodnim, mówiąc, aby tam niezwłocznie rozłożyli się obozem.

Wówczas właśnie, gdyśmy zaczęli przygotowywać żywność dla tylu osób, spostrzegliśmy wpośród nich niezwykłe wzburzenie, po chwili zaś najsilniejsi, uzbroiwszy się w łuki i strzały, stanęli w szyku bojowym. Zaledwie mieliśmy czas zastanowić się nad przyczyną takiego ruchu, gdy z piersi naszych gości jednogłośny wydobył się okrzyk:

—„Nadchodzą inni I n d y a n i e! Nadchodzą inni I n d y a n i e! O jak ich wiele!“...

Było to drugie plemię i n d y j s k i e, niemniej liczne od pierwszego. Wojownicze oznaki ze strony poprzednio przybyłych krajowców, służyły tylko za powitanie ich współbraci. Po niejakim czasie, bez naszego pośrednictwa, wrócił znowu spokój i porządek, oba zaś plemiona, rozlokowawszy się w odległości 50 metrów jedne od drugiego zabrały się raźnie do stawiania namiotów.

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi, w parę zaś godzin później dom nasz, tonący zwykle o tej porze w nieprzeniknionej ciemności nocy, został oświetlony dokoła migotliwemi i n d y j s k i e m i ogniskami. Niespodziana wizyta I n d y a n, spokój jaki między nimi panował nieprzerwanie, oraz niezwykła delikatność, z jaką biedni ci dzicy prosili nas o opał lub przyjmowali rozmaite dary, wiele nam dały do myślenia. Mogliśmy poniekąd łudzić się nadzieją, że ludzie zdradzający tak łagodne usposobienie, z łatwością dadzą się nawrócić. Otaczało nas wtedy 300 I n d y a n, cały zaś personal misyjny składał się zaledwie z 10 osób. Pomimo tego jednak najmniejszej nawet nie doznawaliśmy trwogi i skoro noc zapadła, udaliśmy się spokojnie na spoczynek, nie przedsięwziąwszy żadnych środków ostrożności.

—„Jutro sobota“ — mówiliśmy do siebie — „przeto Najświętsza Panna będzie czuwała nad nami.“

Dzień następny był prześliczny. Słońce zsyłało łagodnie ożywcze swe promienie, od strony morza powiewał lekki wietrzyk, jak wczoraj zaś, tak i dzisiaj, niezakłócona zgoda panowała pomiędzy I n d y a n a m i, którzy się rozbiegli na wszystkie strony po wodę lub drzewo na ognisko. Zaledwie zdołaliśmy rozdzielić pomiędzy naszych gości spory zapas sucharów, mięsa i patatów, gdy dzwon misyjny nas samych wezwał na śniadanie.

Bardziej atoli niżeli posiłek, zajmowali nas w tej chwili I n d y a n i e, o których każdy z nas miał coś do opowiadania. Po nabożeństwie, w którem wielu I n d y a n wzięło udział, mówiąc, że pragną widzieć, jak wielbimy *Wielkiego Ducha*, wszyscy mężczyzni, uzbrojeni w łuki i strzały, skierowali się ku przylądkowi *Sunday*. Co do kobiet i dzieci, to większa ich część, zabrawszy ze sobą wszystkie swoje graty, schroniła się do misyi, zdradzając niezwykłe przerażenie.

—„Co to jest? Co się stało?“ — pytaliśmy zdumieni.

Wówczas kobiety zapomocą rozmaitych gestów dały nam do zrozumienia, że nad przylądkiem *Sunday* znajduje się wielu innych I n d y a n, oraz, że nie wiadomo, czy są oni dobrzy, czy źli. Nie zdradzając przeto trwogi, jakiej nas samych ta wieść nabawiła, odrzekliśmy spokojnie:

—„Tak, tak, idą, ale są to dobrzy ludzie, nie bójcie się niczego.“

Po upływie chwil kilku spostrzegliśmy rze-

czywiście nadciągające jakieś plemię, które zdawało się być liczniejsze od dwóch poprzednich. Następnie wszystkie trzy plemiona stanęły w szyku bojowym naprzeciwko siebie.

Czy się odbędzie walka? Tego niepodobna było przewidzieć. Czy należało nam wystąpić w roli pośredników i pojednać zwaśnionych, gdyby istotnie doszło do kłótni? Mimowolna obawa powstrzymywała nas od tego kroku. Nie mogliśmy nawet naradzić się ze sobą, aby nie wzbudzić przez to jakiegoś podejrzenia w umysłach krajowców.

Żywy i niecierpliwy Brat Ferrando śledził ich bacznie, ja zaś obmyślałem środki ratunku na wypadek, gdyby Indyanie zechcieli przemocą przedrzeć się do wnętrza misyi. Cały zresztą nasz personal w niezwykłym był ruchu. Korzystając z tego zamieszania, X. Beauvoir wymknął się niepostrzeżenie, by dotrzeć do Indyan, wiedział bowiem dobrze, że gdybyśmy to spostrzegli, staralibyśmy się go odwieść od tak niebezpiecznego zamiaru.

Zauważyliśmy niebawem, że wojownicy z obu przeciwnych obozów zbliżyli sie nieco do siebie i jakby na powitanie trzykrotny złożyli ukłon. Potem rozpoczęły się negocyacye, które trwały zaledwie kilka minut, gdyż Indyanie, jako mniej wyćwiczeni w sztuce dyplomatycznej, niż Europejczycy, umieją widocznie daleko prędzej porozumieć się ze sobą. Potem poprzedni przybysze wrócili do swoich rodzin, nowi zaś podążyli ku nam.

Charakterystyczna scena wzajemnego ich powitania wywarła na mnie głębokie wrażenie, przypominając do pewnego stopnia ustęp z Pisma świętego, opisujący pojednanie Jakóba z bratem jego Ezawem po wielu latach niezgody i rozterek.

Dowiedzieliśmy się później, że tegoż samego dnia X. Beauvoir omal nie pożegnał się z tym światem. — Dosiadłszy konia, wyjechał niespostrzeżenie z misyi na spotkanie nowo przybyłych Indyan, którzy się wówczas jeszcze znajdowali nad przylądkiem *Sunday*. Skoro się do nich zbliżył, jakiś krajowiec, należący do najbardziej ucywilizowanych i mówiący po hiszpańsku, schwycił konia jego za cugle, kilku zaś innych Indyan, idąc za namową tego śmiałka, otoczyło dokoła bezbronnego kapłana i wymierzyło doń strzały swych łuków.

—„Co to ma znaczyć?“ — krzyknął X. Beauvoir — „puść mego konia, wszak jesteśmy przyjaciółmi!“

Słowa te wywarły pożądany skutek, Indyanie bowiem odrzucili broń na znak braterstwa i zgody, witając naszego kapłana radosnymi okrzykami. Po przybyciu do misyi, trzeci ten oddział rozłożył się obozem o parę kroków od naszych zabudowań, a X. Beauvoir, patrząc na liczne namioty indyjskie, rozbite dokoła misyi, zawołał radośnie:

—„Iluż biednych pogan przysłał nam Pan Bóg! Jakżeby się ucieszył X. Biskup, gdyby widział to, na co my patrzymy! Nigdy jeszcze, nawet w mej ojczyźnie, nie spędziłem tak wesoło uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego!“

Rzeczywiście, przybycie Indyan przed samemi Wielkanocnemi świętami było widocznem zrządzeniem Opatrzności. Spędzili oni z nami cały prawie tydzień, biorąc udział w naszem nabożeństwie, albo z uwagą słuchając nauk, które, jak się zdaje, na ich umysłach głębokie wywarły wrażenie. Podczas naszego opowiadania o życiu i męce Zbawiciela, nietylko kobiety, ale nawet wielu mężczyzn zalewało się łzami.

Wprawdzie, chcąc zjednać sobie ich serca, musieliśmy dbać przedewszystkiem o materyalne potrzeby tych biedaków, to jest dostarczać im żywności, ale należy przyznać, że poczciwi Indyanie serdeczną za to okazywali nam wdzięczność. Najuboższym dał X. Beauvoir trochę odzieży, wszyscy zaś otrzymywali po trzy razy dziennie mięso, suchary i pataty. Pragnąc odwzajemnić się za te dary, niektórzy z nich łapali dla nas ryby, w które *Rio Grande* obfituje, inni zaś polowali na *guanaki*, aby ofiarować nam ich skóry.

Po całych dniach misya była oblężona przez Indyan rozmaitego wieku, przyglądających się ciekawie całemu naszemu gospodarstwu. Uwagę ich najbardziej zwracały na siebie konie, których wielu krajowców, jak się zdaje, nigdy jeszcze nie widziało. Trudno sobie wyobrazić zachwyt chłopców, gdy po raz pierwszy ujrzeli naszego Pedra, jadącego konno. Niektóre warsztaty, a zwłaszcza ciesielski i stolarski, również się im podobały. Zresztą taka nawet drobnostka, jak gra w piłkę, lub dźwięk jakiegokolwiek, choćby najprostszego muzycznego instrumentu, wywoływał okrzyki zachwytu.

Czy pierwsza ta wizyta pocieszające przyniesie wyniki, o tem wie tylko Pan Bóg. Co do nas, to możemy jedynie się spodziewać, że nie pozostanie ona bez wpływu na proste, lecz szlachetne te dusze, tembardziej, że ewangelizacyjną naszą pracę poleciliśmy opiece Najświętszej Maryi Panny. Na pożegnanie X. Beauvoir zawiesił na szyi każdego z naszych gości medalik Matki Boskiej Wspomożycielki, drobna zaś ta okoliczność napełnia nas otuchą, że Królowa Niebios dopomoże nam pozyskać dla Boga wszystkie te dusze pogańskie, odkupione krwią Boskiego Jej Syna.

X. Wilhelm Del Turco.

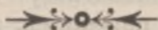


PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonotti.



Rozdział XV.

Uroczystość św. Alojzego. — Nabożeństwo w *kaplicy świątecznej*. — Zabawny wypadek. — Bierzmowanie. — Teatrzyk. — Przemówienie X. Arcybiskupa. — Zabawa t. z. *della pignatta* (= tłuczenie garnków). — Procesya. — Zakończenie uroczystości. — Członkowie honorowi.

Kiedy wreszcie nadszedł z takiem utęsknieniem oczekiwany dzień (29ty czerwca 1847 r.), w kilka minut po 7ej rano ukazała się na Valdocco kareta X. Arcybiskupa. Za nią jechało kilku duchownych z Turynu, na ich czele dwóch kanoników metropolitalnych. Wtenczas kapłani, uproszeni na tę uroczystość przez X. Bosko, którzy już rychło rano zebrali się byli w Oratoryum, wyszli, przybrani w komże, procesyonalnie na spotkanie swego Arcypasterza. Gdy X. Arcybiskup Fransoni wraz z orszakiem zbliżył się już do wyż opisanej bramy tryumfalnej, wtenczas X. Bosko wysunął się naprzód i odczytał pięknie ułożoną mowę powitalną, w której wyraził radość, jakiej doznawał tak on, jak również wszyscy kapłani i świeccy jego Pomocnicy, a zwłaszcza licznie zgromadzona młodzież, mając to szczęście powitać w ubożuchnym swoim domku dostojnego i ukochanego X. Arcypasterza; oświadczył gorące pragnienie wszystkich zgotowania Mu przyjęcia, któreby odpowiadało i wysokiej jego w Kościele godności i niezrównanej ojcowskiej dobroci, jaką otacza wszystkie bez wyjątku powierzone sobie owieczki duchowne; upraszał wreszcie najmocniej, by, wstępując w progi Oratoryum, nie zważał na ubóstwo zewnętrznych ozdób, ale raczej na gorący, wewnętrzny afekt, jakim wszyscy bez wyjątku *kaplicy świątecznej* uczestnicy ku niemu pałają.

Między innemi wyraził się:

„Mając to szczęście przyjmować u siebie Dostojność Waszą, pragnęlibyśmy posiadać najdroższe makaty i obicia, by okryć nagie ściany naszej kapliczki; chcielibyśmy zebrać co najwonniejsze kwiaty, by nimi usłać drogę, po której Wasza Arcybiskupia Mość będzie stąpać; życzylibyśmy sobie mocno posiadać dostatki i bogactwa, aby móc u stóp ukochanego przez nas Arcypasterza złożyć dary, godne dostojnej Jego osoby. Lecz wszystko to byłoby jedynie zewnętrzną oznaką czci, wdzięczności i miłości, jaką w sercach naszych wszyscy bez wyjątku żywimy ku Niemu. Skoro zaś ubóstwo nasze nie pozwala nam zdobyć się na zewnętrzne takie oznaki hołdu i miłości, racz więc, Najprzewielebniejszy Książe Arcypasterzu, łaskawie przyjąć ich rzeczywistość. O tak, przyjm wyrazy głęboko odczutej, z serca płynącej czci, jakie składamy; przyjm zapewnienie uczuć prawdziwie synowskich, jakie dla Twej dostojnej Osoby stale żywimy w sercach naszych, oraz gorące modlitwy, które w dniu dzisiejszym zanosimy do Pana Zastępów, by raczył na Waszą Arcybiskupią Mość zlać obfite zdroje łask niebieskich, by Jej udzielił jeszcze wiele lat życia, abyśmy mogli przez długie jeszcze lata korzystać z dobrodziejstw, jakie nam Wasza Arcybiskupia Mość tak hojnie wyświadcza, a Wasza Dostojność żeby mogła doczekać się jak najobfitszego plonu ze Swych dobrych uczynków.“

Wszedłszy do *kaplicy* i przywdziawszy szaty pontyfikalne, odprawił X. Arcybiskup nasamprzód Mszą św., podczas której kilkaset chłopców przystąpiło do Stołu Pańskiego. Patrząc własnemi oczyma na tak liczny zastęp młodzieży, która niedawno jeszcze temu bardzo niedbale, albo zgoła nie dopełniała obowiązków religijnych, teraz zaś zachowywała się w kościele już nietylko wzorowo, ale przystępowała do Komunii św. z takiem skupieniem ducha i szczerą pobożnością, że budowała wszystkich obecnych, zachwycał się nią X. Arcybiskup i często potem wspominał, że owa pamiętna uroczystość na cześć św. Alojzego w Oratoryum na Valdocco była jednem z nabożeństw, które go do głębi wzruszyły i prawdziwą napełniły pociechą.

—*„Jakżeż nie miałem się radować,“* mawiał, *„jakżeż nie miałem się cieszyć, widząc dokoła siebie sceiny chłopców cnotliwych i pobożnych, co, gdyby nie ten zakład iście opatrznościowy, niechybnie za przykładem tylu rówieśników tonęliby teraz w występkach i rozpuście? Jakżeż nie miały mi popłynąć łzy radości i wesela, widząc na pastwisku Kościoła i pod laską pasterską* Chrystusa *tyle potulnych baranków, co, gdyby ich nie przygarnięto i nie karmiono strawą zdrową i zbawienną w Oratoryum, byliby może*

zmuszeni truć się jadowitą paszą na pastwisku świata, a może wpadliby jako ponętny żer w paszczę drapieżnym wilkom, lub wreszcie sami z baranków przedzierzgnęli się w wilków?"

W czasie Mszy św., i to właśnie, kiedy X. Arcypasterz rozdawał młodzieży Chleb Anielski, zaszedł dość śmieszny wypadek. Oto jeden z chłopców w owej uroczystej chwili zapomniał na śmierć o przestrodze, danej przez X. Bosko, że przed przyjęciem Komunii św. z rąk X. Arcybiskupa należy wpierw pocałować pierścień z relikwiami, jaki tenże nosi na palcu prawej ręki, — kiedy więc dostojny Celebrans, wedle zwyczaju, nachylił mu pierścień do ust, on zamiast go pocałować, pochwycił go wargami, czy nawet zębami.

Po Mszy św., wezwawszy Ducha św., udzielił X. Arcybiskup przeszło 300stu chłopcom Sakramentu Bierzmowania św., a zanim wyszli z *kaplicy*, zwrócił się do nich z odpowiednią przemową, zastosowaną do uroczystego obrzędu, jakiego cotylko dopełnił.

Przy tej sposobności zaszedł inny jeszcze zabawny wypadek, który warto na tem miejscu przytoczyć. Jak w tylu innych kościołach, podobnież w *kaplicy* Oratoryum wzniesiono z okazyi przybycia X. Arcypasterza tuż obok ołtarza coś w rodzaju tronu biskupiego; było to zresztą kilka desek, zbitych na prędce do kupy i przykrytych dywanem: na nich postawiono krzesło. Kiedy więc, dokończywszy św. obrzędu Bierzmowania, X. Arcybiskup z infułą na głowie na to podwyższenie wstąpił, by do chłopców przemówić, nie zwrócił na to uwagi, że sklepienie *kaplicy* nie było tak wysokie, jak w katedrze turyńskiej, nie dziw więc, że będąc dość słusznego wzrostu, uderzył końcem infuły o pułap. Co zauważywszy, uśmiechnął się lekko i rzekł półgłosem do swego otoczenia:

—„*Maxima debetur puero reverentia.* Trzeba tym chłopcom okazać należne uszanowanie i przemówić do nich z głową odkrytą."

To rzekłszy, zdjął infułę. X. Arcybiskup Fransoni nie zapomniał nigdy tego zdarzenia i lubił je często opowiadać w towarzystwie, a zachęcając księdza Bosko do wybudowania dla swej młodzieży obszerniejszego kościoła, dodawał żartobliwie: „*Tylko niech będzie dostatecznie wysoki, abym nie musiał znowu zdejmować z głowy infuły, kiedy mi przyjdzie przemawiać do chłopców.*"

W nauce, jaką wówczas wygłosił, przypomniał X. Arcybiskup bierzmowanym w krótkości znaczenie św. Obrzędów, które dzisiaj nad nimi odbył i wezwał ich, by zawsze śmiało stawali do walki z pokusami, jak przystało na prawdziwych *żołnierzy Chrystusowych.*

—„*Przedewszystkiem,*" prawił, „*od chwili przyjęcia tego św. Sakramentu obowiązkiem waszym jest zwalczać w sobie i u drugich ów tyle, niestety, powszechny brak odwagi cywilnej, owe uczucie słabości, zowiące się „względami ludzkimi." Obyście nigdy nie mieli sobie do wyrzucenia, iż dla błahej obawy ludzkich plotek, naśmiewisk, albo obelg, zaniechaliście jakiego dobrego uczynku, a natomiast daliście się nakłonić do złego. Cobyście powiedzieli o żołnierzu, któryby się wstydził munduru, jaki nosi na sobie, albo pozwolił lżyć swego króla w swojej obecności?*"

Następnie, udzieliwszy im kilka odpowiednich rad i napomnień, zakończył naukę temi słowy:

—„*Udzielając wam Sakramentu Bierzmowania św., życzyłem każdemu z was zosobna pokoju, mówiąc:* **Pax tecum**! (= *Pokój niech będzie z tobą!*). *Otóż tego słodkiego* **pokoju** *życzę obecnie wszystkim, jak was tu widzę, razem i mówię:* **Pax vobis**! *Pokój wam! Tak, synaczkowie najmilsi, starajcie się mieć pokój i żyć zawsze w* **pokoju**: *w pokoju z Panem Bogiem, w pokoju ze sobą samymi, w pokoju z waszymi bliźnimi — słowem, w pokoju ze wszystkimi, tylko nie z czartem, grzechem i zasadami światowemi. Mianowicie tym trzem nieprzyjaciołom wydajcie walkę nieustanną i nieubłaganą, a bądźcie przeświadczeni, że jeżeli w niej wytrwacie aż do śmierci, to ostatecznie zwycięstwo będzie wasze: zwycięstwo zaś takie jest rękojmią i zadatkiem pokoju i szczęśliwości wiecznej.*"

Wyszedłszy z *kaplicy* otrzymali chłopcy z łaski Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa śniadanie, składające się przeważnie z bułki okładanej i owoców: dostojny X. Arcypasterz, jak ojciec dobrotliwy, pragnął także w ten sposób uprzyjemnić im święto i okazać, że dba zarówno o potrzeby ich duszy, jak ciała.

Jeżeli co dopiero zakończona uroczystość *kościelna* odbyła się w sposób tyle budujący, to niemniej miłą była i udała się pod każdym względem uroczystość, że tak powiem, *świecka*, jaką urządzono na dziedzińcu Oratoryum, w której po niejakim czasie, wypocząwszy cokolwiek i przyjąwszy posiłek, raczył wziąć udział także Najprzew. X. Alojzy Fransoni. Był to dotego dzień jego imienin, zatem korzystając z tej okazyi, wystąpili chłopcy na jego cześć z różnymi utworami, wierszem i prozą. Między innymi podobał się wszystkim bez wyjątku gościom śliczny dyalog, między kilku chłopcami, ułożony bardzo zgrabnie i z wielką przez nich oddany finezyą.

Po *akademii* (= wieczorku literackim) na cześć dostojnego Solenizanta przyszła kolej na teatrzyk, w którym odegrano słynnego *„Kaprala napoleońskiego.“* Był to kapral w karykaturze, który pragnąc wyrazić swoje ukontentowanie z powodu odbytej dziś uroczystości, a przedewszystkiem radość z przyczyny odwiedzin Oratoryum przez X. Arcybiskupa, sypał dowcipami i prawił różne facecye, zastosowane do okoliczności. Komedyjka ta udała się również pod każdym względem i ubawiła niezmiernie dostojnego Gościa, tak iż później jeszcze mawiał, że nigdy jeszcze w życiu swojem tyle się nie uśmiał, co owego dnia w teatrzyku Oratoryum.

Po skończonem przedstawieniu powstał X. Arcybiskup i wypowiedział piękną nadzwyczaj mowę. Nasamprzód wynurzył radość, jaką czuł w sercu swojem, będąc naocznym świadkiem, jak piękne Oratoryum wydało owoce; przyrównał ją do wnętrznego wesela, jakiego doznaje misyonarz, kiedy wpośród ubogich ścian swej kaplicy widzi się otoczonym przez nawróconych przez siebie pogan, bogatych jedynie w skarby miłości i właściwy nowochrzczeńcom zapał. Nie szczędził pochwał wszystkim tym, co w *kaplicy świątecznej* tak gorliwie pracowali, duchownym zarówno, jak Pomocnikom świeckim, a podnosząc i wykazując szlachetność tego właśnie rodzaju służby Bożej (t. j. pracy nad umoralnieniem ubogiej a opuszczonej młodzieży), — słowami, dobytemi wprost z serca, przepełnionego żarliwą miłością ku Kościołowi, duszom ludzkim a nadewszystko ku młodzieży, zachęcał wszystkich do wytrwania w podjętem dziele miłości bliźniego, zapewniając ich o niezmiennej swojej Arcypasterskiej dla nich życzliwości. Następnie zwracając się do chłopców upominał ich, by do Oratoryum uczęszczali pilnie i ochoczo, i zaznaczył wielkie korzyści, jakie stąd mieli odnieść: korzyści tak co do duszy, jak co do ciała, korzyści na żywot doczesny, a przedewszystkiem na żywot wieczny.

„Ach! iluż nieszczęśliwych,“ zawołał rozrzewniony, *„iluż nieszczęśliwych jęczy obecnie w ciemnicy więzień, będąc ciężarem dla siebie samych, hańbą dla swoich rodzin, sromotą Wiary i Ojczyzny, a wszystko dlaczego? Oto ponieważ w wiośnie swoich dni nie znaleźli człowieka, któryby im był przyjacielem i opiekunem, — nie mieli przy boku swoim anioła widzialnego, coby przynajmniej w dni świąteczne zabierał ich z ulic i placów publicznych, oddalał od nich niebezpieczeństwo zepsucia, pouczał o obowiązkach, jakie na nich również spoczywają i jako na chrześcijanach i przyszłych obywatelach kraju, — któryby im wykazywał, jak zacną i uszlachetniającą jest praca, a jak haniebnem, a w skutkach swoich zgubnem jest lenistwo. Was, moi najmilsi, śmiem tuszyć, podobny koniec z pewnością nie czeka. Przychódźcie więc tutaj skwapliwie a przychódźcie tak długo, dopóki okoliczności życia wam na to pozwolą; miejcie zawsze w żywej pamięci błogie nauki, jakich wam tu udzielają; kierujcie się niemi w ciągu całego życia waszego, a ja was zapewniam, że nawet w zgrzybiałej starości będziecie jeszcze błogosławić ten dzień, w którym poznaliście drogę, co was zawiodła do tego* **schroniska** *nauki i cnoty.*

Nie mogę zakończyć tego krótkiego przemówienia, nie podziękowawszy wam za serdeczne przyjęcie, jakieście mi zgotowali. O tak, dziękuję za szczere, prawdziwie synowskiem przywiązaniem tchnące wyrazy i życzenia, jakie w imieniu wszystkich wystosowano do mnie i rymem i prozą; komikom dziękuję za ich ucieszne żarty i krotochwile, czem tak znakomicie przyczynili się do podniesienia ogólnej zabawy; śpiewakom dziękuję za pięknie wykonane utwory muzyczne, jakimi nas darzyli; dziękuję również tym, co pracowali nad przyozdobieniem kaplicy i dziedzińca, oraz wzniesieniem pawilonów i łuków tryumfalnych; nadewszystko zaś dziękuję jeszcze raz tym, którzy z taką gorliwością i poświęceniem mozolą się nad ukształceniem waszego serca i umysłu. Słowem, dzięki składam wszystkim i za wszystko. A ponieważ w swoich utworach i deklamacyach nazywaliście mnie **Pasterzem** *i* **Ojcem**, *więc zapewniam was, że takim zawsze dla was pozostanę: zawsze was będę uważał za swoje owieczki i synów najmilszych.“*

Południe już prawie dochodziło, kiedy X. Arcybiskup zabierał się z powrotem do swego pałacu. Wtedy nastąpiła scena rozrzewniająca. Trzeba wiedzieć, że X. Arcybiskup Fransoni był powierzchowności tak ujmującej, odznaczał się tak miłem obejściem i taką uprzejmością, że wystarczało go widzieć, usłyszeć, chwilkę z nim porozmawiać, by odrazu go pokochać i powziąć do niego synowskie zaufanie. To też chłopcy, widząc go już na odjezdnem, stłoczyli się około niego zbitą masą, tak że prawie nie mógł postąpić kroku. Ten chciał go pocałować w rękę, tamten przynajmniej dotknąć się jego szat, ów wołał: *grazie!* (= dziękujemy X. Arcybiskupowi!), inny: *evviva!* (=niech żyje!). Gdyby im było wolno, to byliby mu niezawodnie, jak starożytni swoim królom, upletli tron z własnych ramion i z tryumfem zanieśli do pałacu. Zapał ten młodzieży wyjął X. Arcybiskupowi Fransoni'emu z ust następujące słowa: *„Coraz bardziej się przekonywam, że młodzież w gruncie ma dobre serce i że można*

z nią uczynić wszystko, co się zechce, ale pod warunkiem, że się ją sobie pozyska drogą miłości.“ Dostawszy się nareszcie do karety, dostojny X. Arcybiskup, żegnany głośnymi okrzykami rozentuzyazmowanych chłopców, przyjąwszy raz jeszcze łaskawie słowa serdecznej podzięki i wyrazy synowskiej czci ze strony duchowieństwa, odjechał do siebie, błogosławiąc Oratoryum z całej duszy.

Po jego odjeździe rozeszli się również chłopcy, udając się do domu na obiad, ale około 2ej po południu stawili się znowu w Oratoryum. Teraz nastąpiły aż do 4ej na dziedzińcu przeróżne gry, między innemi t. z. *giuoco della pignatta* (= tłuczenie garnka). By mieć o tej zabawie jakie takie pojęcie, niech sobie czytelnik wyobrazi garnek gliniany, albo dzbanek, napełniony owocem, karmelkami, i t. p. łakociami, a bywa nierzadko, że tylko wodą, ziemniakami lub rzepą, — zawieszony na linie — i chłopca, z zawiązanemi oczami, z długim kijem w ręku, który, otoczony towarzyszami, krąży po dziedzińcu, macha kijem ponad głową w powietrzu, szuka garnka i usiłuje go roztłuc. Ażeby mu zadanie utrudnić, bierze go towarzystwo w krzyżowy ogień. Co chwilę to ten, to ów, krzyczy mu do uszu: *idź naprzód!* to znowu: *cofnij się w tył!* Ten woła: *idź na prawo!* tamten: *na lewo!* Ten woła: *tak!* tamten znowu: *nie!*, tak że biedaczysko, nie wiedząc w końcu komu wierzyć, to przystaje, to idzie znowu naprzód, to biega w kółko, aż nareszcie, z tylu sprzecznych głosów wywnioskowawszy z większą lub mniejszą pewnością, że musi znajdować się w pobliżu dzbanka, staje, wznosi oburącz kij wysoko do góry, wymierza raz, jak mniema, prosto w wiszące naczynie, a następnie uderza rozpaczliwie przed siebie. Po większej części są to razy ślepe, przecinające tylko powietrze, przyjmowane przez towarzystwo szalonym wybuchem radości, dzieją się zaś nieraz w odległości stu i więcej metrów od garnka; czasami jednakże odbywają się dość blisko, lecz wogóle tylko rzadko udaje się ślepej babce odnaleść cel upragniony. Ile razy chybi, to wszyscy się śmieją, a jeśli po długiem szukaniu nareszcie uda jej się trafić kijem w garnek, wtenczas wszyscy rzucają się na ziemię raczkiem, każdy usiłując jaknajwięcej zagarnąć spadłej na ziemię manny dla siebie, choć zdarza się nieraz, że zamiast spodziewanych łakoci, zostają polani wodą, albo hojnie obdarzeni ziemniakami albo rzepą, a w dodatku wyśmiani. Bądź co bądź, temu, co rozbił garnek, pozostaje w każdym razie chwała dnia, a za swoje trudy ma co najmniej zapewniony kawał kiełbasy, lub jaki przyrząd do zabawy.

Po skończonych grach odśpiewano nieszpory, następnie było kazanie na cześć św. Alojzego, w której tego św. Młodzieniaszka postawiono za wzór dla młodzieży, zwłaszcza co się tyczy cnoty czystości i rychłego, bo jeszcze w dziecinnym wieku, oddania się na służbę Bożą. Potem nastąpiła procesya. Z niej, pomijając inne szczegóły, wspomnę tylko o pewnym chłopczyku, przebranym za kleryka, który postępował tuż przed statuą św. Alojzego, trzymając lilię w ręce. Z wyrazu twarzy i całego zachowania się przypominał żywo św. Alojzego, to też oczy wszystkich były zwrócone ku niemu, i nieledwie odnowiło się na chwilę owe znane zjawisko z życia Świętego, kiedyto ludzie zbiegali się do kościoła, by go widzieć modlącego się, każdemu bowiem zdawało się, że patrzy na anioła w ludzkiej powłoce. Powróciwszy do *kaplicy*, odśpiewano na głosy *Tantum ergo* i otrzymano błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem.

Uroczystość zakończyły wieczorem ognie sztuczne i puszczanie baloników, a gdy nadeszła godzina 9ta, zwołał X. Bosko wszystkich chłopców dokoła siebie, kazał im odśpiewać pierwsze dwie zwrotki znanej pieśni: *Luigi, onor de' vergini* (= Alojzy św., chwało serc dziewiczych i t. d.), a wreszcie wezwał ich, by się rozeszli spokojnie i w porządku do domów. Chłopcy usłuchali wezwania natychmiast, a wykrzyknąwszy raz jeszcze włoskim zwyczajem: *Evviva San Luigi!* (= niech żyje św. Alojzy!), *viva Don Bosco!* (= niech żyje X. Bosko!), opuścili dziedziniec Oratoryum.

W jakiś czas potem uwiadomił ich X. Bosko, iż wielu dostojnych mężów i znacznych osobistości zapisało się do *Towarzystwa św. Alojzego*, jako członkowie honorowi. Jakżeż się zdumieli, ale zarazem zbudowali, słysząc imiona Ojca św., Piusa IX, kardynała sekretarza stanu, Jakóba Antonelli'ego, X. Arcybiskupa Alojzego Fransoni'ego, X. Biskupa M. Antonucci'ego (ówczesnego nuncyusza przy dworze turyńskim, później zaś kardynała-arcybiskupa ankonitańskiego) i wielu innych.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





(*Ciąg dalszy* *)).

Ta ich nieumiejętność przyrządzenia sobie lekkich, strawnych i posilnych pokarmów, co przedewszystkiem przypisać należy zupełnemu (w *dosłownem* tego słowa znaczeniu) brakowi sprzętów kuchennych, jako to: garnka, rądla, kotła i t. p., przypomina mi pewne zdarzenie, jakie niedawno temu opowiadał nam, przybyły świeżo z wyspy **Dawson**, pewien nasz misyonarz:

„Krążyłem sobie pewnego razu po lasach, pokrywających wyspę **Dawson**, wyszukując kryjówek **Indyan**, istot nadewszystko sercu mojemu drogich, których miłuję jak źrenicę oka i dla dobra których poświęciłem swe życie. Po długiem i daremnem szukaniu dostrzegłem nakoniec pomiędzy drzewami jednego z nich, ale zaledwie szelest liści, po których stąpałem, ostrzegł go o obecności kogoś obcego, znikł, jak spłoszony zwierz, natychmiast w gęstwinie. Wtenczas zacząłem wołać co sił: „*Jegoa! Jegoa!*" (= *przyjacielu! przyjacielu!*) i, żeby go czemś przynęcić i sobie ująć, pokazałem mu szklanne świecidełko. Na ten widok stanął; następnie zaczął pomalutku przysuwać się ku mnie, spoglądając trwożliwie na mnie i rozpatrując się po okolicy, by się przekonać, czym nie miał przy sobie broni i czy w pobliżu gdzie nie było innych ludzi. **Indyanin** ten miał na sobie tylko skórę *guanaka*, spiętą ladajak na ramieniu za pomocą rybiej ości: był to młodzieniec w kwiecie wieku, wysmukły, o stopach szerokich, wysokiem czole, — słowem, był to skończony typ **Fuegina**. Kiedy się zbliżył do mnie, pogłaskałem go, położyłem mu rękę na ramieniu, wręczyłem mu świecidełko, które mu byłem pokazał, by go przywabić, a w dodatku ofiarowałem mu suchar, który on w mgnieniu oka pochłonął, prosząc, bym mu dał jeszcze. Pieszczoty te i podarki sprawiły, że ostatecznie ująłem go sobie zupełnie; przestał patrzeć z podełba, ze strachem i niepokojem, na mnie i z gotowością oświadczył, że pójdzie ze mną aż do domu misyjnego.

Tymczasem głód dokuczliwy przypomniał mi, że czas już było co przekąsić; postanowiłem więc w maleńkim kociołku (który na wypadek, gdyby wycieczka za długo się przeciągnęła, wziąłem był przezornie ze sobą), zgotować kawałek mięsa z *guanaka*. W tym celu zaczerpnąłem wody w strumyku, nazbierałem nieco suchego chróstu, którego w lesie była wielka obfitość, roznieciłem ogień i w środku ustawiłem kociołek. **Fuegin** patrzał osłupiały na te przygotowania, nie mogąc dociec, do czego one prowadziły, a na obliczu jego malowały się na przemian to zdumienie, to przestrach. W oczekiwaniu, aż mięso się zagotuje, zacząłem przechadzać się nad brzegiem strumyka, odmawiając Rożaniec. Aż naraz słyszę za sobą nieludzkie wrzaski; obracam się przerażony i widzę, jak mój **Indyanin** rzuca się na wszystkie strony, trzęsie ręką w powietrzu, a kociołek leży przewrócony na ziemi.

W jednej chwili zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, co zaszło. Oto mój żarłok widział, że do garnka włożyłem kawałek mięsa i, nie wiedząc o tem, że woda rozgrzała się mocno i była prawie wrząca, zanurzył w niej rękę, chcąc porwać smaczny kąsek, uraczyć się nim bez mojej wiedzy, a potem może drapnąć. Tymczasem biedaczysko sparzył się bardzo dotkliwie i z bólu zaczął naprawdę ryczeć. W pierwszej chwili nie mogłem wstrzymać się od śmiechu; pobiegłem jednakowoż czemprędzej ku niemu, zanurzyłem mu rękę w zimnej wodzie, obłożyłem mu ją ziemią i obwiązałem chusteczką do nosa. Pomimo to nieborak nie przestał krzyczeć, wygrażać kociołkowi pięścią i grozić mu zemstą. Ja tymczasem, napełniwszy znowu kociołek wodą, przystawiłem go do ognia i odtąd nie spuszczałem zeń oka, bacząc, by się nie powtórzyła scena poprzednia, a może coś gorszego. Gdy się mięso należycie ugotowało, odmówiłem zwykłą modlitwę, prosząc Pana Boga, by raczył pobłogosławić nas i te dary, które z Jego świętej szczodrobliwości mieliśmy spożyć; następnie wezwałem **Fuegina**, by i on razem ze mną się przeżegnał, poczem zasiedliśmy na trawie do posiłku. Rozkroiłem mięso na poły i część jednę, z dodatkiem suchara, dałem memu towarzyszowi: to uciszyło go prędzej, aniżeli wszystko inne; przestał jęczeć i utyskiwać na swe nieszczęście i wygrażać kociełkowi, a zato z wilczym apetytem wziął się do zmiatania swojej porcyi. Oczywiście nie miałem wtenczas przy sobie widelca, ani serwetki, ani talerza: niemniej przeto apetyt, znakomicie zaostrzony długiem błąkaniem się po lesie, sprawił, że skromny ów posiłek wydawał mi się ucztą królewską; do tego zielony kobierzec łąk, co się rozścielały dokoła, daleki ryk spienionych morskich bałwanów, co się rozbijały o skaliste brzegi wyspy, widok pagórków i gór, piętrzących się w oddali jedne nad drugiemi, dodawały obiadowi poetycznego uroku.

Fuegin na te piękności przyrody najmniejszej nie zwracał uwagi, tylko pałaszował, co Bóg dał, od czasu do czasu spoglądając gniewliwym wzrokiem w stronę kociełka. Przezroczysta, jak kryształ, woda strumyka, co krętym biegiem szemrząc po kamykach, u stóp naszych toczył swe fale, ugasiła pragnienie zarówno mnie, jak memu towarzyszowi i wydawała mi się w tej chwili smaczniejszą i bardziej orzeźwiającą, niż najlepsze wina, rozweselające biesiadników na wystawnych ucztach w **Europie**.

Po skończonym obiedzie odmówiłem za siebie

---

*) Zob. „*Wiadomości salezyańskie*," roczn. II, nr. 5, str. 133.

i za **Fuegina** modlitwę, poczem, dobywszy **sekstant**, zabrałem się do mierzenia długości i szerokości geograficznej miejsca, gdzie się znajdowałem. Czyniąc odnośne badania, rzucałem mimo to od czasu do czasu okiem w stronę mego **Indyanina**; on tymczasem, widząc mnie tak zajętym i sądząc, że nań przestałem zważać, porwał z furyą kociołek, zdaniem jego, widocznie jedyną przyczynę nieszczęścia, co go spotkało, rzucił nim o ziemię i zaczął bić w niego kamieniami, klnąc przy tem, na czem świat stoi, i wywierając na niewinnem naczyniu swoją zemstę. Znowu musiałem się śmiać do rozpuku, ale nie chcąc postradać tyle pożytecznego, a zarazem potrzebnego sprzętu, nadbiegłem jeszcze w porę, by mu go z ręki wydrzeć, zanim go zdołał potłuc na drobne kawałki. Następnie starałem mu się na wszelki sposób wytłómaczyć, że to nie kociołek, ale wrząca woda sparzyła go tak okropnie, i że postąpił sobie bardzo źle, próbując ściągnąć mi cichaczem mięso. Ale gdzie tam! On koniecznie chciał się mścić na nieszczęsnym rądlu.

Ostatecznie zawiodłem go do naszej misyi **św. Rafała,** i tam przyłączyliśmy go do gromadki przygarniętych przez nas **Indyan**; wraz z innymi zaczęliśmy go pouczać we Wierze, przyzwyczajać do noszenia ubrania, słowem, zrobiliśmy go członkiem naszej rodziny indyjskiej. Do wszystkiego dał się z łatwością nakłonić i we wszystkiem okazywał się powolnym, jednakże przez dłuższy czas jeszcze na widok kociołka, rądla i t. p. zapalał się nieubłaganym gniewem i groził im pięścią dopóty, dopóki sparzona ręka zupełnie się nie zgoiła i dopóki nie przyzwyczaił się do życia cywilizowanego. Wtenczas zawarł nareszcie ze wszystkimi kotłami, kociełkami, rądlami i garnkami pokój, a nawet wszedł z nimi w zażyłą przyjaźń, tem więcej, kiedy otrzymał odemnie jeden w darze, aby miał w czem sobie sobie sam strawę ugotować.“

Nie trudniąc się uprawą ziemi a z przyczyny ostrości, a więcej jeszcze *wilgoci*, klimatu nie znajdując w skąpych nad wyraz płodach, jakie tutaj jej powierzchnia sama, t. j. bez uprawy, niesie, dostatecznego dla siebie pożywienia, — tem więcej, ponieważ wyspy i stały ląd, leżące na południe i północ od **cieśniny Magellana** przez całe pół roku pokryte są śniegiem, — zmuszeni są mieszkańcy **Ziemi ognistej** (Fuegini) szukać dla siebie i rodzin swoich pożywienia w polowaniu i rybołóstwie.

Ulubionym przedmiotem polowania **Fueginów,** jak również pokrewnych im **Patagończyków** na północ od **cieśniny Magellana,** jest *guanako*, czyli sarna patagońska. Zwierzę to jest trochę większe od sarn, żyjących w naszych lasach, szyję i nogi ma długie, na grzbiecie zaś nosi lekki garb, czem przypomina nieco wielbłąda. Guanakisamce jednakże nie mają rogów. Mięso jego jest wyborne, a skóra nader poszukiwana, to też nie dziw, że *guanako* przedewszystkiem dostarcza pożywienia i przykrycia **Indyanom na** stepach **patagońskich** zarówno, jak na **Ziemi ognistej,** tem więcej, że napotyka go się i tu i tam w wielkiej ilości. Jakkolwiek, ogółem wziąwszy, przekłada płaskowyże i na swój pobyt wybiera zwykle miejsca wyniosłe, to jednakże żyje także w nizinach i miejscach bagnistych: wszędzie go więc napotkać można. *Guanaki* żyją zawsze gromadnie; na **Ziemi ognistej** natrafia się je stadami, liczącemi 20-30 sztuk, ale na niezmierzonych stepach **patagońskich** chodzą gromadami, składającemi się z kilkuset, a nawet kilka tysięcy samic i samców. Misyonarz salezyański, **X. Dominik Milanesio,** w jednym ze swoich listów pisze, że w ciągu wycieczek na **Pampas** środkowej **Patagonii** napotykał nieraz stada *guanaków*, pokrywających pagórki, na jakich się pasły, tak zbitą masą, że patrząc na nie zdala, „*pagórki wydawały się płowe. Na pustyni* **Balcheta** *napotykałem nieraz stada, liczące* 4-5,000 *sztuk. Kiedym się ku nim zbliżył, rzuciły się do szalonej ucieczki, pędząc zbitą kupą pod górę i na dół, tak iż pagórek zdawał się uciekać razem z nimi* *).“ **Patagończycy** puszczają się za nimi konno, a dopędziwszy, zarzucają im na kark, lub pod nogi, *boleadora* (= ciężarek ołowiany lub żelazny, przytwierdzony na jednym końcu długiego sznura lub rzemienia, którego drugi koniec jeździec silnie trzyma w ręku), który obwinąwszy się około nogi lub szyi ściganego zwierzęcia, powala je na ziemię; **Fuegini** strzelają do nich zazwyczaj z łuków. Na wiosnę polowanie na *guanaki* o tyle jest ułatwione, że w stadach przeważają młode sarenki, które zamiast uciekać razem ze staremi, zbliżają się, nieopatrznie, raczej ku koniom myśliwych i nieraz biegną dobrowolnie za nimi. *Guanako* jest to zwierzę nieszkodliwe i bardzo miłe; da się łatwo oswoić. W tym stanie lubi nadzwyczaj słodycze, a otrzymawszy je od kogo razy kilka, już się doń przywiązuje; wtedy zbliża się to do jednego, to do drugiego, i wyciągając długą szyję a wzrok utkwiwszy w ich twarzy, lub ręku, zda się niejako prosić o cukierek.

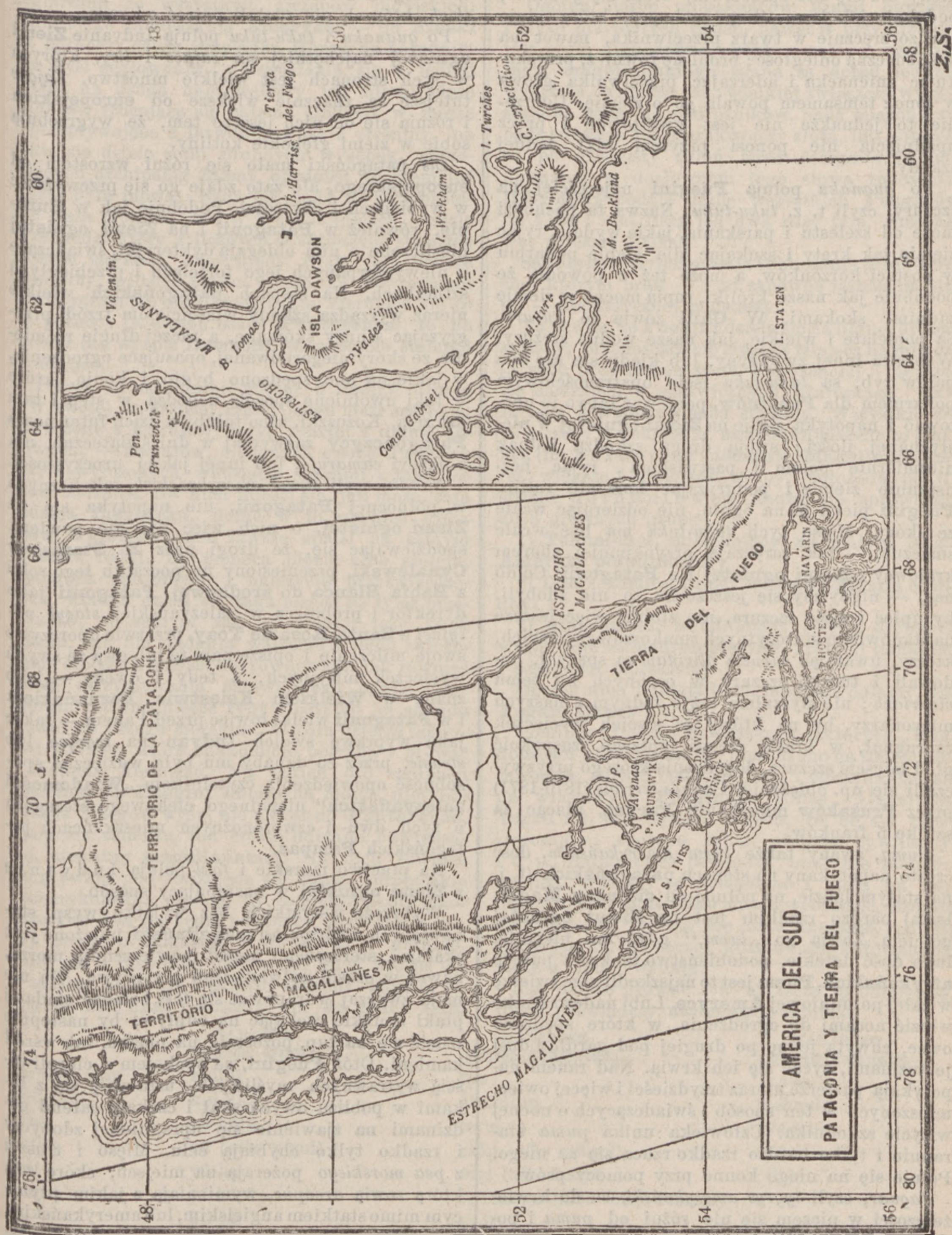
Doskonale umieją także pływać. W licznych a krętych kanałach, dzielących setki drobnych i większych wysepek i wysp, stanowiących **archipelag magellański,** czyli **Ziemi ognistej,** można nieraz widzieć, jak cała gromada rzucają się w odnogę morską, by z jednej wyspy przeprawić się na drugą. Exkrementa (mierzwa) *guanaków* stanowią dla mieszkańców bezlesistych, pustych **Pampas** (= stepów) patagońskich, jedyne paliwo, jakiem się posługują **Patagończycy.**

Guanako zraniony ma to wspólnego z ranionym jeleniem naszych lasów, że bieży do wody, pragnąc ugasić palące go pragnienie, a jużto można uważać nieledwie za fakt, że czując się bliskim śmierci, kładzie się nad brzegami rzek i tam oczekuje skonu. Misyonarze nasi na swoich wycieczkach po **Pampas** patagońskich napotykali nieraz brzegi bezludnych stepowych jezior i rzeczek (np. **Rio Santa Cruz, Rio Gallegos** i t. d.), zasiane bielejącemi kośćmi *guanaków*.

Napadnięty znienacka (a w stanie oswojonym,

---

*) Zob. *Bollettino Salesiano*, 1886, nr. 7, str. 81.



Patagonia południowa. — *Cieśnina Magellana.* — *Ziemia ognista.* — **Wyspa** *Dawson.*

kiedy mu się kto sprzeciwia) broni się *guanako*, podobnie jak *lama*, śliną cuchnącą, którą pluje bardzo zręcznie w twarz przeciwnika, nawet na dość znaczną odległość; broni się również, przyskakując znienacka i uderzając przeciwnika głową w łono: temsamem powala go o ziemię. Uderzenie to jednakże nie jest gwałtowne i prócz upadnięcia nie ponosi przytem nikt żadnej szkody.

Po *guanaku* polują **Fuegini** najczęściej na szczury, czyli t. z. *tuku-tuku*. Nazwa ta pochodzi może od szelestu i parskania, jakie wydają, ryjąc ziemię jak krety i szukając dla siebie pokarmu w postaci korzonków, a może też z powodu, że podobnie jak nasze króliki, tupią mocno w ziemię zadnimi skokami. W **Chili** zowią je *kururu*. Są popielate i wielkie, jak nasze wodne szczury. W braku innej zwierzyny, lub kiedy się nie uda połów ryb, są *tuku-tuku* iście opatrznościowym pokarmem dla **Fueginów**, ponieważ łatwo je upolować i napotyka się je na **Ziemi ognistej** w niesłychanej ilości; swoją drogą szkodzą jednak niezmiernie polom i pastwiskom, ryjąc bezustannie ziemię i podgryzając korzenie roślin. **Fuegini** pieką je na ogniu, nie odzierając wcale ze skóry. Mięso tych *tuku-tuku* ma być wcale smaczne, — tak zaręczają przynajmniej chórem krajowcy z **Ziemi ognistej** i z **Patagonii**. Co do nas, — nigdyśmy się jeszcze na to nie zdobyli, by upiec i zjeść szczura, nie stoimy więc jeszcze na stanowisku starożytnych smakoszów rzymskich, którzy, uważając *carnem glirinam* za specyał, hodowali i tuczyli szczury w osobnych ku temu *vivariach*; nie słyszałem też o żadnym z naszych misyonarzy, by na której ze swoich wycieczek zapragnął, w braku czegoś lepszego, zaspokoić głód mięsem szczura, do jedzenia którego przyzwyczaili się np. oblężeni w *l'année terrible* (1870-1871) przez **Prusaków** mieszkańcy **Paryża**, płacąc za sztukę 5 franków.

Puma, zwany także *lwem amerykańskim*, dość często napotykany na stepach **patagońskich** (t. j. na stałym lądzie, na północ od **cieśniny Magellana**) bardzo rzadkim jest na **Ziemi ognistej** gościem. Zowią go „*lwem*,“ gdyż ma niejakie, lubo dość dalekie, podobieństwo do króla pustyń **afrykańskich. Puma** jest to najszkodliwsze zwierzę w całej południowej **Ameryce**. Lubi nadewszystko włazić nocami do ogrodzenia, w które spędzono owce, chwyta jednę po drugiej pod gardło i dusi je tuzinami, sycąc się ich krwią. Nad ranem napotykają pasterze nieraz trzydzieści i więcej owiec, uduszonych w ten sposób i świadczących o nocnej wizycie szkodnika. Człowieka unika *puma* starannie i tylko bardzo rzadko rzuca się na niego. Poluje się na niego konno przy pomocy psów.

Jaguar, czyli *tygrys amerykański*, co do krwiożerczości w niczem się nie różni od *puma* i podobnież najchętniej napada owce; udusiwszy ich jednakże kilka i nasyciwszy się ich krwią, ma zwyczaj unieść ze sobą jednę lub dwie na zapas i ukryć w gęstwinie lasów, lub na odludnem jakiem miejscu, przykrywając zdobycz starannie liśćmi, trawą i piaskiem, — czyni więc tosamo, co **Fuegini** z resztkami *wieloryba* lub *psów morskich*, których nie zdołali pożreć od razu.

Po *guanaku* i *tuku-tuku* polują Indyanie **Ziemi ognistej** najchętniej na *zające* i *lisy*, których w tych stronach jest wielkie mnóstwo. *Zające* tutejsze są znacznie większe od **europejskich** i różnią się od nich jeszcze tem, że wygrzebują sobie w ziemi głębokie kotliny.

Lis patagoński mało się różni wzrostem od **europejskiego**, ale zato zdaje go się przewyższać w wybiegach i chytrości. Podobnie jak w **Europie**, również w **Patagonii** i na **Ziemi ognistej** niezliczone o nim obiegają dykteryjki, świadczące o niewyczerpanych jego fortelach i przebiegłych sztuczkach. Na stepach **patagońskich** wielkie nieraz wyrządza szkody właścicielom trzód, przegryzając sznury skórzane, a raczej długie rzemienie ze skóry niegarbowanej, opasujące ogrodzenia, w jakie na noc spędzono bydło i konie, które w taki uwolnione sposób uchodzą w step i tam dziczeją. Kożuszki, albo tołuby z lisich futer noszą **Patagończycy** zazwyczaj w dni świąteczne, np. z okazyi *camarujo*, lub innej jakiej uroczystości.

Nandù, czyli *strusi amerykańskich*, tak licznych w północnej **Patagonii**, nie napotyka się na **Ziemi ognistej**, o nich więc nic nie powiem, spodziewając się, że drogi nasz **X. Stanisław Cynalewski**, przeniesiony na początku tego roku z **Bahia Blanca** do **środkowej Patagonii** jako dyrektor i proboszcz w salezyańskiej *stacyi misyjnej* w **Santa Rosa de Toay**, przerwie uporczywe swoje milczenie i opisze nam tę lub ową ze swych wycieczek misyjnych, a tedy i owedy — jako znany w **Wielkiem Księstwie Poznańskiem** i w **Patagonii** wielki łowiec przed Panem — także jaką wyprawę swoich **Indyan** na *tygrysa* lub *strusie*, przez co danąby mu była wdzięczna sposobność opowiedzenia czytelnikom **„Wiadomości salezyańskich“** niejednego ciekawego szczegółu o tych dwu- i czworonożnych mieszkańcach **patagońskich Pampas**.

Na ptactwo morskie i *foki* polują Indyanie z **Ziemi ognistej** w następujący sposób.

Wybrzeże wszystkich bez wyjątku wysp, stanowiących **archipelag magellański**, najeżone jest skałami, sterczącemi ponad powierzchnią morza, nawet w czasie największego przypływu. Na nie mają zwyczaj wdrapywać się *foki* i siadać stadami ptaki morskie czekając na odpływ, by następnie rzucić się na łup, pozostały na piasku, lub wśród kamieni. Otóż **Fuegini**, ze spokojem i cierpliwością wytrawnych myśliwych, ustawiają się z łukami w pobliżu owych skał i czekają całemi godzinami na zjawienie się upragnionej zdobyczy i rzadko tylko chybiają celu. Mięso i tłuszcz z *psa morskiego* pożerają na miejscu, skórę zaś, którą zowią *arcapùz*, wymieniają z jakim płynącym mimo statkiem angielskim, lub amerykańskim, w zamian za *galetas* (= suchary), *tabago* (= tytoń) i *pentelùns* (*pantaloons* w języku angielskim = spodnie, w żargonie zaś **Fueginów** oznacza jakąbądź część ubrania).

Stąd widzimy, że prowadzą rodzaj handlu, co prawda, w najbardziej prymitywnej tegoż formie,

bo we formie *zamiany*. Są oni też jedynymi żeglarzami ze wszystkich szczepów indyjskich, jakie tylko zamieszkują **Amerykę**, — od **Alaski** na północy, aż do przylądka **Hoorn** na południu. Na myśl żeglowania i przenoszenia się z jednej wyspy na drugą naprowadziły ich niezawodnie *guanaki*, rzucające się całemi stadami w morze i przepływające z łatwością wąskie cieśniny, na jakie się dzielą setki drobnych wysepek, stanowiących archipelag **Ziemi ognistej** (o czem już wyżej była mowa). Bądź jak bądź, ile razy nastanie cisza morska, lub w tych miejscach, gdzie przechodzi który z licznych w tutejszych stronach *prądów morskich*, albo kiedy wiatr jest bardzo pomyślny, widzieć można często na powierzchni morza *pirogi* (= łódki) fuegińskie, kierujące się to ku północy (w stronę osady **Puntarenas**), to na zachód (ku wyspie **Dawson**), to wreszcie stamtąd wracające.

Pirogi te są mniej więcej 3 metry długie a w swojej środkowej części jeden metr szerokie, utworzone z kawałów kory, zdartej z drzew dębowych, — kawałów, spojonych z sobą tłuszczem *fok*, a wyłożonych wewnątrz skórami z takichże *psów morskich*. Na nich mieści się, jak może, cała rodzina **fuegińska**, licząc w to również kilka psów, z których jeden zawsze siedzi na samym przedzie łódki. Za pomocą pięciu albo sześciu, wpoprzek położonych i należycie przytwierdzonych, kładek dzieli się taka *piroga* na tyleż przedziałów, w samym zaś jej środku leży kupa piasku, tak dla nadania wątłemu i licho skleconemu czółenku potrzebnej równowagi, jak również celem utrzymywania ustawicznego ognia, przy którym rodzina piecze ryby i cotylko jej się uda złowić na brzegu morskim. Wiosła dzierżą zazwyczaj kobiety, które znakomicie potrafią i pływać i łódkami kierować. Na takich oto czółnach puszczają się **Fuegini** śmiało na morze, nietylko wzdłuż brzegów wysp, ale nawet do **Puntarenas**, wpoprzek samejże, tak często burzami nawiedzanej, **cieśniny magellańskiej**. Na nich również podpływają pod zbliżające się statki europejskie i amerykańskie, częścią, by zamienić skóry *guanaka* lub *foki* na tytoń i suchary, przeważnie zaś, aby prosić o jałmużnę, a zwłaszcza o ubranie, które też z łatwością otrzymują, gdyż widząc ich w takiem ubóstwie i prawie całkiem nagich, litują się nad nimi i zrzucają im do łódek starą i znoszoną odzież, bądź podróżni, bądź marynarze.

Ogólną liczbę mieszkańców **Ziemi ognistej** i wysp przyległych podać, nawet w przybliżeniu, jest zgoła niepodobna, gdyż z całego **archipelagu magellańskiego** znane są dotąd jedynie wybrzeża, wnętrze zaś, wielkiej zwłaszcza wyspy, stanowi bądź dla podróżników, bądź misyonarzy, bądź wreszcie dla poszukiwaczy złota, lub kupców, aż po dzisiejszy dzień *terra incognita* (ziemię nieznaną) w dosłownem tego słowa znaczeniu. **D'Orbigny** podaje liczbę wszystkich **Fueginów** na 4,000; inni liczą ich dwa razy tyle, inni nawet przeszło 10,000.

Są to tylko przypuszczenia i obliczania przedwczesne, którym brak — i to zapewne jeszcze na długo — statystycznej podstawy.

To pewna, że **Fuegini** dzielą się na liczne, drobne szczepy, przenoszące się ciągle z miejsca na miejsce (a więc prowadzące życie *koczownicze*) i tępiące się nawzajem w ustawicznych utarczkach, jakie za lada powodem z sobą staczają. Wszystkie zaś te szczepy i pokolenia, zamieszkujące czy to stały ląd (na północ od **cieśniny Magellana**), czy też większe i mniejsze wyspy, położone po jej stronie południowej, dadzą się sprowadzić do 3 głównych grup:

1) **Tehuel**-czes, mieszkający na stałym lądzie **Ameryki południowej**;

2) **Ona**-s, zamieszkujący właściwą **Ziemię ognistą**; i

3) **Alakaluf**-es, zaludniający szereg drobnych wysp, poprzecinanych gęstymi, krętymi kanałami i odnogami morskiemi.

Oprócz nich istnieją inne, mniejsze odłamy, **jak Yagan, Canoe** i t. p.

Pomijając Indyan **Tehuel**-czes, o których **„Wiadomości salezyańskie"** niezadługo na innem niezawodnie mówić będą miejscu, i ograniczając się na właściwych **Fueginach** (Onas, Alakalufes, Yagan i t. d.), wyznać trzeba, że co się tyczy zwyczajów, sposobu życia, stopnia cywilizacyi i t. p., najmniejsza pomiędzy nimi nie zachodzi różnica. Wszyscy są *nomadami* i stoją na najniższym, jaki sobie tylko można wyobrazić, stopniu uobyczajenia. Różnią się zato znacznie, co się tyczy języka, a raczej głosów artykułowanych, jakie z siebie wydają.

Jak dalece główne ich narzecza są odmienne, niech poświadczy następująca tablica.

	NARZECZE szczepu **Ona**	NARZECZE szczepu **Alakaluf**	NARZECZE szczepu **Tehuelk**
Chrześcijanin	koliót	îpa	káde
Indyanin	koi-uká	âlokúlup	tehuelk
ojciec	yá-hain	terueya	yáuchko
matka	yâ (*albo* yâmi)	czâp (*albo* czâpel)	yáu
brat	yâ-hau	érri (*albo* harrí)	théu
siostra	yó-hórka	er-reszész (*albo* harri-reszesz)	
syn	hil-lál	ayól	
córka	hi-tamn	ayól	
głowa	háletasz	órkuar	czeter
oczy	hotel (*albo* hotr)	tell	otitel
język	czâhl	lékuiel (*albo* lékél)	tal
nos	otl	oliéliszdá	or

ucho	szên	kiábui	szíau
ręka	hczíu	párkar	czéu
noga	hâl (*albo* hálké)	kât	iháu
żołądek	sziar	kiépkar	háucz
brzuch	haúsken	káczél	háukén
serce	tôln	czelák	
przyjaciel	yó-hô-péu	hátu-káláy	yéno
nieprzyjaciel	pâ-huel	kiek	komié
śmierć	lêczin	táf	
biały	sôoln (*albo* sol)	y kapek-kár	
czarny	pâr-n	tírr kár	
dobry	kpasz	lâyep	
zły	áimerén	czi-láber	
ogień	kâuken	czárkus	yáike
ciepło	pôl-ken	ápel	
zimno	czár-ken	kisziász	
śnieg	kôsz	ákapé	
jeść	kartén-yóu	tôl (*albo* lafész)	yáties
niebo	sziô-on	árka	héuszk
gwiazda	tél-u	páp-parisz	téry
słońce	kêrén (*albo* krén)	arelók	kénguén
księżyc	ké-ré (*albo* kré)	jakapeszálop (*albo* jakapeszála)	
noc	káu-ku	ak-kióy	
dzień	kerén-ke-nok	kala	
morze	kôk	czâpl	yóno
mięso	yépper	yépper	yépper
jeść mięso	yéppertén	láfálaidro-yépper	
wielki	káken (*albo* tóon)	ák-kuel	
mały	tép-sóu	ykijót	
wysoki	tokó	tekl	ternik
niski	huán-kasku	ál-léksda	czamk
guanako	yóhuen (*albo* tôl)	lâyel	náu
łuk	hâa (*albo* kâar)	kiérakála	
strzała	yâa (*albo* yáu)	árszél	
ja	yâa	czéls-kuá	yá
ty	mâ	czáuls-kuá	má
on	ai-mâ	kials-kuá	tá
my	yek-huâ	áluks-kié-kál	sziná
wy	mây	kuói-kié-kál	uszmá
oni	pen-mâ-huén	kiál-kié-kál	enčmszk
jak się nazywasz?	kisònmió?	péliczau?	
nazywam się	onnijóne	czilskua	
co robisz?	ònesèk-meu?	ákuál czákiál le télka?	
tak	ê	â	ô (*albo* kuskajá)
nie	če	kiâtai	komsk

Kilka nazwisk Indyan ochrzczonych:

Ona.

Koskolpe Tomasz
Huayekóu Michał
Czalmlí Stanisław
Kalmól Antoni
Koslope Alojzy
Kelkejól Andrzej
Uek-tétesze Michał

Alakaluf.

Aikit Piotr
Irkczirkperkalikczisz Henryk
Janczilskalczisz Andrzej
Jencziriálukczisz Michał
Tokal Jacek
Kuisk-szikutorelukczisz Antoni
Uaye-esze-karekczisz Emanuel
Uiyíterekczisz Paweł
Kaczek-terksterka-kalisziù Samuel
Uitekalisz Wilhelm
Czesteruá Filip
Czok-kurankut Kajetan
Czariksdaikszisz Daniel

Tehuelk.

Manikík Józef
Keymata Saturnin
Katorro Jan
Koczorro Franciszek
Czeljot Alojzy
Sinczel Jan

(*Dokończenie nastąpi*).

ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Marya Panna, Wspomożycielka Wiernych! — Spieszę uwiadomić czcigodnych OO. Salezyanów, iż łaskę, o którą Pana Boga byłem prosił i w tej intencyi jednocześnie z wychowankami Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie nowennę odprawiał, rzeczywiście za sprawą Najsłodszego Serca Jezusowego, a za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, otrzymałem. Byłem już w bardzo smutnem położeniu i czułem się nieszczęśliwym i prawie opuszczonym, ale jedna myśl tkwiła mi zawsze w pamięci, że niemasz gdzieindziej pomocy, tylko u Matki Najświętszej Wspomożycielki, która jest szafarką wszelkich łask Bożych. Serdecznie więc dziękuję tak za tę, jak za wszystkie inne łaski, od Pana Boga w życiu mojem otrzymane, a wielebnego Ojca proszę, aby przyjąć raczył odemnie tę skromną ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego, którego przez całe swoje życie wiernym pozostanę Pomocnikiem. Dzisiaj posyłam 3 marki a i nadal jeszcze nie zapomnę o dziatwie Waszej, która tak gorąco modliła się na moją intencyą.

Radzionków (Górny Śląsk).

Kasper Dohn.

***

Pozdrawiam czcigodnych OO. Salezyanów i przysyłam ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego, jako dziękczynienie Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za przywrócenie zdrowia naszym dwom synkom po odprawieniu nowenny. I z głębi duszy prosimy o błogosławieństwo Niebios o zdrowie dla dziatek naszych i całej rodziny, jak również o błogosławieństwo w rzemiośle. Łaskę zaś powyższą proszę umieścić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Borek (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Jan Jarecki, wraz z żoną.

***

Najświętsza Marya Panna Wspomożycielka mnie uzdrowiła! — Przed siedmioma z górą tygodniami straszna choroba przykuła mnie do łoża boleści. Wszelkie zabiegi lekarskie, podjęte celem przywrócenia mi pierwotnego, utraconego zdrowia, okazały się bezskuteczne. Przepisywane lekarstwa nie przynosiły mi ulgi, ale zwiększały tylko moje boleści, które były okropne.

Nie znajdując pomocy u lekarzy ziemskich, zwróciłam się z prośbą do cudownej Lekarki niebieskiej, którą jest Najświętsza Marya Panna, Wspomożycielka Wiernych. Zobowiązałam się za zesłanie choćby tylko *ulgi* w okropnej tej chorobie, nadesłać ofiarę na Mszę św. dziękczynną przed cudownym Jej obrazem w Oratoryum salezyańskiem w Turynie. Nadzieja ta mnie nie zawiodła. Tydzień nie upłynął po wzmiankowanem przyrzeczeniu, a wielka zaszła zmiana w mojej chorobie. Boleści nagle się zmniejszyły i od czasu odbytej *nowenny* z dnia na dzień czuję się zdrowszą. Mogę już nawet z łoża powstać i najpotrzebniejsze sprawy domowe sama załatwiać, a mam niezłomną nadzieję, że Najświętsza Marya Panna zupełnie mnie do zdrowia przywrócić raczy. Proszę tedy Wiel. OO. Salezyanów o odprawienie Mszy św. dziękczynnej przed cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, w świątyni, na Jej cześć przez sługę Bożego, X. Bosko, w Turynie wystawionej, i o ogłoszenie łaski niniejszej w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Królewska Huta (Górny Śląsk).

Joanna Halemba.

***

Składam najserdeczniejsze dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za uchronienie mnie od kary więzienia, na które już byłem skazany. Odprawiwszy *nowennę* i założywszy apelacyą do najwyższego Sądu, sprawa ta wzięła całkiem nowy i nadspodziewany dla mnie obrót, i tak zawdzięczam łasce Najsłodszego Serca Jezusowego, a wstawieniu się Matki Najświętszej, Wspomożycielki Wiernych, iż zupełnie od kary i winy zostałem uwolniony. Ofiarę przyrzeczoną, wraz z prośbą o dalsze modlitwy na moją intencyą, w załączeniu nadsyłam.

Stęszewo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Walenty Szyfter.

***

Składamy ofiarę na podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za otrzymaną łaskę, t. j. za wyzdrowienie syna, który od dłuższego już czasu bardzo ciężko był chory, a któremu zaraz po odprawieniu *nowenny* przez dziatwę salezyańską w Oratoryum św. Franciszka Salezego przed cudownym obrazem Matki Boskiej Wspomożenia zaraz się polepszyło, tak iż dzisiaj jest już zupełnie zdrowy.

Serdeczne „*Bóg zapłać!*“ składamy raz jeszcze wielce Szan. OO. Salezyanom i wychowywanej przez nich dziatwie za modlitwy odprawione, łaskę zaś otrzymaną upraszamy najmocniej ogłosić we **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Deszowice (Górny Śląsk).

Karol i Joanna Konradowie.

***

Serdeczne podziękowanie przesyłam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za odzyskanie zdrowia, które ta Najświętsza Lekarka niebieska u Pana Boga mi wyprosić raczyła. Dziękuję również za gorliwe modlitwy, a zwłaszcza za *nowennę*, jaką na moją intencyą w Oratoryum salezyańskiem w Turynie wychowankowie Wiel. OO. Salezyanów odprawili. Byłam już bardzo słaba, tak iż lekarze o mnie całkiem już zwątpili, ale Najświętsza Marya Panna Wspomożycielka jednak mnie nie opuściła. Za którą to otrzymaną łaskę publiczne dzięki składając, proszę jednocześnie o nadesłanie mi obrazka Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, w Turynie łaskami słynącej.

Bytom (Górny Śląsk).

Marya Wieczorek.

***

Całem sercem składamy serdeczne dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za otrzymaną łaskę, tj. za polepszenie zdrowia naszej matce. Z głębi duszy prosimy o błogosławieństwo Niebios i o zdrowie dla całej rodziny, jak również o błogosławieństwo w gospodarstwie, łaskę zaś powyższą proszę umieścić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Brzezinka (Górny Śląsk).

K. Hallama.

***

Posyłam obiecaną ofiarę w ilości 10 marek. Wysłuchał Pan Bóg naszych próśb i wczoraj dowiedziałam się o pomyślnym skutku. Upraszam serdecznie o łaskawe umieszczenie w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Pakość (Wielkie Księstwo Poznańskie).

W. Szumanowa.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu wiernych Chrześcijan, składam wraz z żoną publiczne podziękowanie za cudowną pomoc, udzieloną naszej córeczce. Trzy lata już cierpiała na oczy, a wszelkie zabiegi i starania ziemskich lekarzy, do których się uciekaliśmy, spełzły na niczem. Wtenczas udaliśmy się o pomoc do Lekarki niebieskiej, tj. do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, w Oratoryum salezyańskiem w Turynie niezliczonemi łaskami słynącej, prosząc dziatwę, przez XX. Salezyanów wychowywaną, o *nowennę*.

W nadziei mojej nie zawiodłem się: Matka Najświętsza raczyła wysłuchać wspólną naszą modlitwę. Po odprawieniu *nowenny* córka nasza odzyskała wzrok, a teraz już uczęszcza do szkoły.

Załączoną ofiarę, jaką nadsyłam, proszę przyjąć jako dowód wdzięczności i użyć na potrzeby *misyi*, lub inne cele salezyańskie, otrzymaną zaś łaskę upraszam mocno ogłosić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Królewska Huta (Górny Śląsk).

Fach z żoną.

***

Przesyłam w załączeniu ofiarę jako *votum* dla Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki z prośbą o szczęśliwą śmierć i darowanie win całego życia.

Hohendorf (Prusy Zachodnie).

J. Kruszewska.

***

Serdeczne składam dzięki Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za łaskę niedawno otrzymaną, a mianowicie za dobre świadectwo, wystawione mi, jak również za pomyślny egzamin, złożony przed władzą rządową, przez co wielką radość przyniosłem i pociechę całej mojej rodzinie. Najświętszą Wspomożycielkę proszę, aby mnie także nadal wspierać raczyła w dalszych moich naukach i postępach służbowych i rodzinnych, a przy tej sposobności zanoszę z serca płynące dzięki za odzyskanie zdrowia moich dzieci, jako też za wszelkie inne łaski, dotąd otrzymane, z gorącą prośbą

o niewypuszczanie mnie i mojej rodziny nigdy ze Swojej świętej Opieki.

Chorzów (Górny Śląsk).

Leon Ziemba.

* * *

Z wielką pociechą i szczęściem odsyłam Wiel. OO. Salezyanom część długu, zaciągniętego u ś. p. X. Jana Bosko, który uprosił za wstawieniem Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, pomyślną sprzedaż kawałka ziemi. Ofiarę proszę przyjąć łaskawie, tak jak ja ochotnem a wdzięcznem sercem ten dług przesyłam.

Całem sercem Wasza

Apollonia z Kundziczów Sowińska.

Jelcówka (Ukraina).

* * *

Z wdzięcznem sercem przesyłam małą ofiarę na podziękowanie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, iż za Jej wstawieniem córka moja otrzymała uzdrowienie rąk, na które już parę lat była cierpiała. Kiedy wszelkie starania lekarzy ziemskich okazały się bezskutecznemi, ucieklišmy się o pomoc do Lekarki niebieskiej, tj. do Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, w Oratoryum salezyańskiem w Turynie łaskami słynącej, prosząc o odprawienie na tę intencyą *nowenny* przez dziatwę salezyańską. *Nowenna* się odbyła, a córka ma teraz ręce całkowicie zdrowe.

Równocześnie zasyłam serdeczne podziękowanie Najświętszej wiernych chrześcijan Wspomożycielce za uzdrowienie mego męża, który na zapalenie płuc nagle był zachorował, do czego niezadługo przyłączyło się plucie krwią, kaszel i wielka gorączka. Było już z nim tak dalece źle, że nawet sam lekarz powątpiewał o jego życiu. W tym ciężkim smutku udałam się z całą rodziną o pomoc do Najświętszej Wspomożycielki i Najsłodszego Serca Jezusowego, ślubując, że jeżeli Pan Bóg raczy wysłuchać mej prośby, to poszlę ofiarę na cele salezyańskie i na odprawienie Mszy św. Ufność nasza, położona w Lekarce niebieskiej, została niebawem wynagrodzona i tyle upragniona łaska otrzymana.

Obrzycko (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Katarzyna Bruch.

* * *

Wdzięczni rodzice posyłają dziatwie salezyańskiej w Oratoryum turyńskiem ofiarę, dziękując za odprawienie *nowenny* i wstawienie się u Matki Najświętszej, Wspomożycielki Wiernych, o uzdrowienie jedynego syna naszego, Aleksandra, z prośbą o dalsze modlitwy o łaski potrzebne i błogosławieństwo Boże w dalszym ciągu życia jego.

Stawiszcze (Ukraina).

M. Jakubowska, wraz z mężem.

* * *

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, z całego serca dziękuję za moje uzdrowienie. Byłem tak ciężko chory na nogi, że już nie potrafiłem chodzić, z powodu której to choroby nawet lekarze powątpiewali o mojem wyzdrowieniu, a skorom się udał do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, i posłałem ofiarę na Msze św. i na kościół tejże wszystkich wiernych Chrześcijan Wspomożycielki w Oratoryum salezyańskiem w Turynie, zaraz mi było lepiej a dzisiaj jestem już całkiem zdrów. Dziękuję także Wam, kochani OO. Salezyanie, i Waszej dziatwie, za odprawienie *nowenny*, a posyłając ofiarę, proszę, by łaskę otrzymaną ogłoszono we **„Wiadomościach salezyańskich;“** proszę również o nadesłanie poświęconego medalika.

Kozłowa (Górny Śląsk).

Paweł Śmieszek.

* * *

W imieniu całej rodziny składam najgorętsze podziękowanie Wam, drodzy XX. Salezyanie, za Wasze i dziatwy, przez Was wychowywanej, modlitwy do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, które, jak wierzę niezachwianie, przyczyniły się, za wstawieniem się tejże Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, do uzdrowienia brata mego z niebezpiecznej choroby zapalenia płuc.

Jak tylko choroba przybrała groźny charakter, zaraz w sercu nieomieszkałem błagać pomocy Niebios, w czem się nie zawiodłem, gdyż Najświętsza Marya Panna, na prośby moje i Wasze, drodzy Ojcowie, przyczyną Swoją u Boskiego Swego Syna uprosiła nam niegodnym to, o cośmy Ją gorąco błagali, tj. zdrowie dla brata. Zupełnie zdrów jeszcze nie jest, ale zdrowie widocznie stale powraca. Niech za to wszystko, cośmy niegodni, z rąk Bożych, za przyczyną Najświętszej Wspomożycielki dotychczas otrzymali, będzie cześć i chwała Jej Imieniowi po wszystkie wieki. Oby wszyscy, którzy są w potrzebach, zawsze i wszędzie, ale z ufnością udawali się

o pomoc do naszej Najświętszej Wspomożycielki, a z pewnością zawiedzeni nie będą, gdyż Najświętsza Panna, jako Matka nasza najlepsza, w macierzyńskiej Swej czułości nie pozwoli długo czekać na Swą pomoc, szczególniej wtenczas, kiedy jest przez takie grono ziemskich aniołków, wybranych swoich, proszoną.

Polecając raz jeszcze, tak siebie, jak niemniej całą mą rodzinę i Ojca (oraz Matkę mą, w grobie już spoczywającą) modlitwom niewinnych dziatek z Oratoryum turyńskiego, pozostaję szczerze Wam oddany

Marcin Ratajczak.

Taniborze (Wielkie Księstwo Poznańskie).

***

Z wdzięcznością za doznane i w celu uproszenia dalszych łask nadsyła ofiarę na cele salezyańskie

Walerya Bielicka.

Pelplin (Prusy Zachodnie).

***

Przewielebności Waszej przesyłam ofiarę na Mszę św. do Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, na podziękowanie za odebrane łaski, drugą ofiarę zaś na potrzeby Zakładu, polecając siebie, żonę i familię modłom dziatek tamtejszych.

Kuchary (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Krzyżagórski z żoną.

***

Stokrotne składam podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za odebraną łaskę i proszę Ją zarazem o błogosławieństwo domu. Zawsze wdzięczna sługa Maryi

Barbara Lasocińska.

Kobylin (Wielkie Księstwo Poznańskie).

***

Na podziękowanie za otrzymane łaski od Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, przesyłają ofiarę na cele salezyańskie:

Rozalia Zmarzły z Głogówka (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie;

Jan Brózda z Mogilna (Wielkie Księstwo Poznańskie), za wysłuchanie prośby;

Andrzej Schubert z Gliwic (Górny Śląsk);

Piotr Kaczmarek z Disteln (Westfalia), za otrzymanie łaski pożądanej;

Antoni Baka z Pawłowa (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie;

Marya Grabara z Szarleja (Górny Śląsk), za nawrócenie pewnej osoby;

Piotr Tschoepe z Szarleja (Górny Śląsk), za otrzymanie łaski pożądanej;

Marcin Gisha z Brzezinki (Górny Śląsk), wraz z żoną Maryanna, za wysłuchanie prośby;

Anna Walla z Miejskiego Janowa (Górny Śląsk), za wyleczenie z niebezpiecznej choroby;

Piotr Koźlik z Kopaniny (Górny Śląsk), za wysłuchanie prośby;

J. Komorski, mistrz garncarski, z Pleszewa (Wielkie Księstwo Poznańskie), za doznane łaski;

Franciszka Mross ze Zaborza (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie;

Marcin Mross, mistrz stolarski, z Rosmierza (Górny Śląsk), za odebrane dobrodziejstwa;

Pelagia Zborowska z Gniezna (Wielkie Księstwo Poznańskie), za polepszenie w chorobie syna;

Piotr Wojciechowski z Zawodzia (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie;

Jan Brzenk ze Szarleja (Górny Śląsk), za otrzymaną pomoc;

Jan Jeziorowski ze Szarleja (Górny Śląsk), za otrzymaną pomoc;

Walenty Polytycki z Wysoki (Wielkie Księstwo Poznańskie), za dobrodziejstwa odebrane, prosząc dla swej rodziny o ducha modlitwy i o siedm darów Ducha św.;

Leon Skrobek z Bóbrka (Górny Śląsk), za otrzymane łaski;

Józef Lassak z Lipin (Górny Śląsk), za wysłuchane prośby;

Ludwik Gałąska z Królewskiej Huty (Górny Śląsk), za wysłuchane modlitwy;

Pewna niewiasta z Królewskiej Huty (Górny Śląsk), za nawrócenie męża;

A. Szółdrska z Żydowa (Wielkie Księstwo Poznańskie), za doznaną łaskę;

Albert i Julianna Drappowie z Michałkowic (Górny Śląsk), za wysłuchane prośby;

Andrzej Motyliński, budowniczy, z Inowrocławia (Wielkie Księstwo Poznańskie;

Aniela Zuchmantowicz z Ufy (Rosya), za doznane łaski, z prośbą o nowe;

Maryanna Wieczorek z Laurahuty (Górny Śląsk), za odebrane łaski.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1898.